

39894

ZESZYT 21.

ROK II. :: ::

Kwartalnie

13 zeszytów

tylko

2 kor. 40 hal.

W agencjach 2 kor. 70 hal.



Przedpłatę na „Tygodnik Narodowy“ przesyłać należy przekazem pocztowym lub czekiem do Administracji „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie ulica Wiślna 2. wwww



Poznań — Kraków, dnia 31 maja 1911.

TYGODNIK NARODOWY

ILUSTROWANY

Rocznie (52 zeszyty) **9** koron. Półrocznie **4** kor. **80** hal. Kwartalnie **2** kor. **40** hal. W agencjach prenumerata kwartalnie **2** kor. **70** hal. Pojedynczy numer **24** hal. Abonament do Francyi, Ameryki, Król. Polskiego i Rosyi tylko półrocznie **8** koron, rocznie koron **16**.

Wydawnictwo „Tygodnika Narodowego“,
w Krakowie, ul. Wiślna 2. Konto czekowe 112 905.

ЛННБ України ім. В. Стефаника



01524339R

„Tygodnik Narodowy“ wychodzi co niedzielę. :: ::
Przedpłatę rocznie 9 kor., półrocznie 4 kor. 80 hal.
ćwierćrocznie 2 kor. 40 hal. — należy przysyłać na ręce
Administracji „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie,
ul. Wiślna 2. (biuro M. Hupezyca). — W agencjach na
provincji prenumerata kwartalnie 2 kor. 70 halerzy.

Ogłoszenia: Od wiersza I-lamowego petytem
Przy większych i częstszych ogłoszeniach odpowiad

W Krakowie przyjmuje ogłoszenia wyłącznie biuro
Hupezyca ul. Wiślna 2.

Konto czekowe poczt. kasy oszczędności No.

Biuro Dzienników MARYANA HUPEZYCA

Kraków, ul. Wiślna 2 - Telefon 340

przyjmuje prenumeratę oraz ogłoszenia
do wszystkich dzienników.

Wielki wybór artystycznych kart z widokami.

L. 10.
Męski ankr. remontoir.



z portretem Kościuszki,
kiewicz lub z godłem
bardzo dobrze idący na
wyregulowany. Na za
wysyłam darmo i op
katalog ilustr. zegarów
garków, wyrobów ju
skich, chińsk. srebra,
borów, narzędzi zega
strzowskich i towarów
zycznych.

F. Pamm, Kraków, Zielona

Rocznik XIV.

„RODZINA I SZKOŁA“

z dodatkiem
naukowym

„WIEDZA I PRACA“

Pismo, poświęcone domowemu i szkolnemu wychowaniu młodzieży, dalszemu kształceniu nauczycielstwa
szerzeniu i popularyzowaniu wiedzy.

„Rodzina i Szkoła“ jest najtańszym pismem pedagogicznym polskim.
„Rodzinę i Szkołę“ z dodatkiem naukowym „Wiedza i Praca“ poleciła galicyjska c. k. Rada szkolna krajowa we Lwowie, reskryptem z dnia 22. marca 1904 l. 10. 299 do wszystkich bibliotek nauczycielskich szkolnych i ogólnych w Galicyi a śląska c. k. Rada szkolna krajowa w Opawie reskryptem z dnia 22-go marca 1908 l. 2162 do bibliotek nauczycielskich wszystkich szkół polskich na Śląsku oraz bukowina c. k. Rada szkolna krajowa w Czerniawce reskryptem z dnia 22. marca 1908 l. 2. 162 do bibliotek nauczycielskich wszystkich szkół polskich na Bukowinie.

Rodzinę i Szkołę z „Wiedzą i Pracą“ odznaczono listem pochwalnym na wystawie przyrodniczo-lekarskiej i higienicznej we Lwowie w roku 1907 oraz na wystawach „Dziecko“ w Wilnie i higienicznej w Lublinie w roku 1908.

„Rodzina i Szkoła“ jest pismem szczerze polskim i katolickim.

Prenumerata „Rodziny i Szkoły“ z „Wiedzą i Pracą“ kosztuje rocznie 8 Mk., półrocznie 4,50 Mk. — Zeszyty pojedyncze „Rodziny i Szkoły“ z „Wiedzą i Pracą“ 0,50 Mk.

Numerata okazowe wysyła na żądanie otwartą pocztą i opłatnie oraz również przyjm. prenumeratę wprost Administracya „Rodziny i Szkoły“ we Lwowie (Galicya) ul. Szeptyckich l. 68 (Gmach Sokoła II-go piętra) Prosimy żądać numerów okazowych kartą korespondencyjną, podając dokładnie adres (imię i nazwisko) miejscowość i pocztę ostatnią.)

Roczniki z 1904, 1905, 1906, 1907 i 1908 są do nabycia w Administracyi „Rodziny i Szkoły“ we Lwowie ul. Szeptyckich l. 68 po cenie: zbroszurowane 6 Mk., oprawne 7 Mk. (bez porta) za rocznik „Rodziny i Szkoły“ z rocznikiem „Wiedzy i Pracy“.

3 Korony

wynosi rocznie z przesyłką
pocztową prenumerata -
Straży Polskiej.

Straż Polska

jest organem stowarzyszenia,
noszącego tę samą nazwę, a ma-
jącego na celu obronę duchowych i materialnych inte-
resów narodu polskiego.

Straż Polska

nie służy żadnemu stronnictwu,
jest pismem czysto narodowym.

Do współpracowników Straży Polskiej należą:
prof. A. E. Balicki. K. Bartoszewicz. Dr. L. Caro. Dr.
J. Flach. Prof. Dr. Tad. Grabowski. Kazim. Gliński.
Wiktor Gomulicki. Wanda Krzyżanowska. Dr. Kaz.
Lubecki. Prof. M. Magiera. Prof. Czesł. Pieniążek. Dr.
J. Ptaśnik. Dr. Lucyan Rydel. Henryk Sienkiewicz.
C. Smólski. JE. Stanisław Tarnowski i t. d.

Adres: Straż Polska, Kraków, Floryańska 1.

Od Administracyi.

Wszelkie reklamacye są wolne od
opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czy-
telnikom uwagę na to, iż reklamacye
koniecznie muszą być nadesłane w
otwartej kopercie. Reklamacyi w zam-
kniętych kopertach niefrankowanych nie
przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam
za nie podwójne porto.

Redaktor odpowiedzialny Marjan Hupezyca w Krakowie
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego.“

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Nasza organizacja robotnicza.

W święto Wniebowstąpienia i dni następne toczyć się będą w grodzie Przemysława obrady Zjazdu delegatów Zjednoczenia Zawodowego Polskiego. Nie możemy oczywiście, pisząc te słowa, wiedzieć jeszcze, jaki obrót wezmą te obrady, jakie będą wyniki Zjazdu delegatów. Możemy jedynie wyrazić życzenie, by Sejm ten robotniczy, tak odmienny w składzie swym, w swem obliczu od dawnych naszych Sejmów, uwieńczony był wynikiem jak najlepszym dla stany robotniczego i dla całego naszego społeczeństwa.

To, co Zjednoczenie zdziało dotąd, jest dla nas rękojmią, że i dalsza praca, w której Zjazd ma być ważnym etapem, pójdzie w kierunku pożądanym przez ogół naszych robotników, zdrowo w przyszłość patrzących.

Zjednoczenie Zawodowe Polskie jako takie ma co prawda poza sobą już ośm lat sprawozdawczych, nie jest więc organizacją zupełnie młodą, zaczynającą dopiero pracować, organizacją bez pewnego doświadczenia, bez praktyki. Zważywszy jednak, że pierwszych lat istnienia naszej organizacji robotniczej, lat, pełnych walk, w porównaniu z którymi dzisiejsze walki są fraszką, lat, w których zazdrośne organizacje konkurencyjne, patrzące wrogo na Zjednoczenie, naszej samoistnej organizacji za taką nie uważały, nie można w zupełności brać w rachubę, przyznać należy z całym uznaniem, że robotnik polski dokonał w czasie bardzo krótkim dzieła wprost olbrzymiego. Już dziś inne organizacje, składające się z członków, posiadających stokroć lepsze wykształcenie, wskazują na robotniczą organizację jako na wzór, jak należy pracować, jak należy odczuwać ideę organizacyjną.

Do roku 1908 Zjednoczenie Zawodowe Polskie nie było organizacją całego polskiego ludu roboczego, obejmując jedynie niemal pracobiorców

w przemyśle górniczym na obczyźnie, a pozatem stosunkowo niewielu rzemieślników i robotników w Prusach Zachodnich. Zdala od Zjednoczenia stała garść robotników zorganizowanych w Polskim Związku Zawodowym z siedzibą w Poznaniu, oraz dość już potężna, lecz cokolwiek niepewna, grożąca przejściem pod egidę centrowo-chrześcijańską Wzajemna Pomoc na Śląsku, złożona przeważnie z przedstawicieli zawodu hutniczego. Po niemałych dopiero trudach i mozolach przechodzi do skutku zlanie się Polskiego Związku Zawodowego ze Zjednoczeniem dnia 14 września 1908 r., a po zwalczeniu większych jeszcze trudności dnia 28 marca 1909 r. przyłączenie się do Zjednoczenia śląskiej Wzajemnej Pomocy.

Z tą chwilą dopiero mówić możemy o prawdziwej, jednej organizacji, obejmującej polski lud robotniczy pod panowaniem pruskim. Zlanie się trzech odrębnych zrzeszeń robotniczych w jedno ciało nazwać należy tryumfem zdrowej myśli robotniczej, tryumfem, który musi sprawie robotniczej przynieść z czasem ogromne korzyści. Zlanie to jest zdrowym objawem wielkiego wyrobienia społecznego wśród tych naszych rzesz robotniczych, które tak późno dopiero wchodzą w dziejach narodu polskiego na widowie publiczną. Społeczeństwo umie uznać wielkość tego czynu, umie uznać wyrobienie społeczne robotnika, przyznając mu prawa obywatelskie na równi z innymi stanami.

Dzięki temu zlanu się Zjednoczenie przedstawia dziś siłę, zwarte ciało robotnicze o blisko 70 tysiącach członków, ciało rozłożone na całym niemal obszarze ziem niemieckich. Niech zaboli w niem członek na wschodzie, a zdrowa krew, pulsująca na zachodzie, szybko chore miejsce uzdrowia.

Znajdują się wprawdzie jeszcze jednostki, które wciąż nie mogą pogodzić się z myślą, że wschód wielkiej organizacji nie dość jeszcze jest silnym dla siebie, że niejednokrotnie odwoływać się musi do pomocy zachodu, nie przynosząc ca-

łości takich korzyści, jakich pragnęliby zapaleńcy. Wciąż jeszcze ujawniają się dążności, by słabszych pozostawić własnemu losowi. Głosy takie odzywać się będą zapewne także podczas obecnego Zjazdu. Należy tymczasem mieć nadzieję, że solidarność robotnicza, wyrobienie społeczne zwyciężą interesy partykularne. Na zwycięstwie tem zyska sprawa robotnicza, zyska całe Zjednoczenie, zyska wreszcie społeczeństwo, rozumiejące, że przyszłość jego związana jest ściśle z dobrem stanu robotniczego, z jego rozwojem ekonomicznym.

Mając to na względzie, pragnieniem naszym jest, by idea silnej, spójnej organizacji z jedną silną kasą centralną, wyszła z obrad Zjazdu silniejszą jeszcze, by nigdy nie mogły się ujawnić zamiary rozbicia silnych fundamentów, na jakich Zjednoczenie Zawodowe Polskie stanęło.

W tej myśli: Szczęść wam Boże! — bracia robotnicy od kilofa, młota i szpadla, Szczęść Boże! w Waszej zbożnej pracy społecznej.

T. P.

Walka o wywłaszczenie.

Więc wywłaszczać nas jeszcze nie będą! — Tak odetchnął sobie zapewne niejeden z nas, czytając mowę, wypowiedzianą przez ministra Schorlemera podczas obrad nad memoriałem Komisji kolonizacyjnej.

Nie ulega wątpliwości, że wspomniana mowa, wygłoszona w Sejmie pruskim, była objawem niecodziennym, objawem przedewszystkiem zdrowej reakcji rządu wobec bezbrzeżnych żądań hakatystycznych. Wszak minister porównał żądania te z nakazem, jaki swego czasu wydał Herod, by wymordowano wszystkich młodzianków. Wypowiedział on śmiało hakatystom, którzy dotąd niepodzielnie rządili rządem pruskim, że rząd ten obejdzie się bez nich, że się bez nich obejść musi, bo to, czego oni żądają, doprowadzić musi całą politykę antypolską do zupełnego fiaska.

Zważywszy, że minister Schorlemer tak samo stanowczo wystąpił przeciw polityce hakatyzmu w komisji, w której nad memoriałem radzono przedtem, że słowa jego były wyrazem nie jego osobistych zapatrywań, lecz wyrazem całego obecnego rządu, wówczas dojdziemy do przekonania, że jednak mimo wszystko zapanował w Berlinie prąd cokolwiek inny.

Rząd pruski (obecny, co będzie dalej, tego przesądzać nie wolno) przekonał się więc, że polityka silnej pięści, dyktowana przez hakatyzm, polityka — że użyjemy tu słów ministra — mordowania młodzianków, do celu nie doprowadzi, że dzięki takiej polityce wóz rządowy zagrzązł w błocie i nie można go dalej ruszyć.

Powiedzieliśmy, że polityka taka rządu nie doprowadziła do celu, podkreślamy przytem silnie, że cel tej polityki absolutnie się nie zmienił w ni-

czem. Celem tym jest ~~z~~zniemczenie nas, wyćpie nie z serc naszych ideałów, których wyrzec nam się nie wolno pod utratą znamienia narodu o samoistnej kulturze, narodu żywego, myślącego o dalszem rozwijaniu i budowaniu tego, co budowali i rozwijali przodkowie nasi przez lat setki. Celem rządu jest to, byśmy się stali Prusakami, i od tego celu nie odstąpił ani p. Schorlemer, ani rząd nawet o jotę. To uświadomić sobie powinniśmy dobrze, zwłaszcza po owej mowie, która gotowa nas uspić, jak haszysz, uspić i owiać mgłą rojeń złudnych i zgubnych.

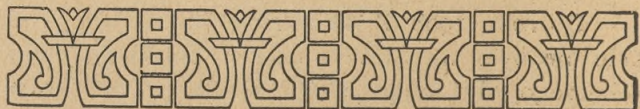
Zgubnym marzeniom oddawać nam się nie wolno, nie wolno nam tracić trzeźwego sądu, bo inaczej bylibyśmy zgubieni, a conajmniej pracę naszą w duchu narodowym cofnęlibyśmy wstecz o lat dziesiątki. Nie powinniśmy się upajać jednym sukcesem, odniesionym codopiero, bo w upojeniu tem spotkać nas mogą niepowetowane klęski.

Powinniśmy sobie jasno zdawać sprawę z tego, że zmiana zapatrywań, jaka się ujawniła w stosunku do wywłaszczenia, jest bezsprzecznie naszym sukcesem, sukcesem wytrwałej obrony naszych dóbr najświętszych, naszych praw, danych nam od Boga. Przeciwnik nasz musiał powziąć dla nas szacunek, że tak dzielnie praw swych bronić umiemy, że nie upadliśmy na duchu mimo tylu ustaw wyjątkowych, że wyjątkowe to ustawodawstwo okazało się wobec nas bezsilnem. Rząd poznał, że posiadamy siły żywotnej tyle, iż nie przestraszy nas polityka „mordowania młodzianków”.

Rząd jednak nie doszedł do tego rezultatu, że wobec tego pozostawić nas należy w spokoju. Przekonał się on tylko, że same gwałtowne środki nie doprowadzą go do celu. Trzeba więc wybrać inne drogi, inne środki, t. zw. środki kulturalne, nie zrzekając się w danym razie owego ostrego miecza, któremu na imię: wywłaszczenie.

Nam tymczasem właśnie tych środków kulturalnych, środków łagodnych, niebolesnych, działających, jak słodka trucizna, obawiać się należy najwięcej. Obawa tymczasem sama nie wystarczy, trzeba przedewszystkiem truciznie tej przeciwdziałać i to w ten sam sposób, jak przeciwdziałaliśmy dotychczas środkom dotychczasowym. Duch prawdziwie obywatelski zapanować powinien pomiędzy nami, duch zrozumienia tego, co nasze, a co obce. Powinniśmy umieć się ustrzedz także przed tą słodką trucizną, którą nas zaczyną częstować, nie obawiając się, że gdy ona nie podziała, użyją wobec nas ostrego miecza, który już raz ich zawiódł.

Tak postępując, nie będziemy się potrzebowali lękać o przyszłość naszą. Przetrwamy wszystko, jako *naród* silny, pragnący żyć, jak to silnie podkreślił w swej niezrównanej wprost mowie poseł nasz mec. Trąpczyński.



Miłość Ojczyzny.

Miłość Ojczyzny słusznie nazywają uczuciem świętem. Bez niego gromada ludzka byłaby stadem jednostek obcych sobie, nawet wrogich, gryzących się o miejsce na świecie i o kawał chleba. Miłość Ojczyzny jednoczy ludzi, sprzęga, porządkuje. Spojeni w naród dążyć poczynają do celów ogólnych, wyższych, społecznych.

Ale nie tylko to. W duszy każdej jednostki miłość Ojczyzny jest niby płomień w lampie, niby ognisko w izbie. Bez niej panowałaby w społeczeństwie ponura ciemność samolubstwa: człowiek pełzałby jak gadzina po ziemi, głowy nie zdołałby podnieść ku górze. Miłość Ojczyzny unosi go ku niebu, ku ideałom na podobieństwo skrzydeł potężnych.

Kto się nad tem zastanawiał, ten o prawdach tych wie. Kto w sobie czuje żywe drganie miłości Ojczyzny, ten rozumie, jak ona człowieka dźwiga, wywyższa. Jest ona często źródłem męki i rozpacz, ale staje się też czasem powodem szczęścia wielkiego, jakiego samolub nie zazna nigdy. Męki patriotyzmu są od innych straszliwsze, ale i one stają się duszy ludzkiej drogą, bo z ukochania płyną i dla ukochania istnieją.

* * *

Jak poważne są następstwa miłości Ojczyzny, przekonać się można z „Listów polskiego robotnika“. Pisał je Stanisław Janicki do przyjaciela. O tym St. Janickim czytamy w jednym z pism:

Urodził się na wsi w Poznańskim. Matka jego była biedną, dobrą, ale ciemną kobietą, zczerstwiałą w twardej pracy i niedostatku. Ojciec odumarał go wcześniej. Poszedł do szkoły — w Prusach istnieje przy-
mus szkolny. Tam uczono go mowy obcej i sławiono wielkość Niemiec.

Miał lat czternaście, gdy musiał iść w świat na zarobek. Niedola zapędziła go aż nad Ren, do kopalń westfalskich.

Tam — zdawało się — powinien był zginąć dla Polski. Ledwie ją widział, mało co słyszał o niej, o jej dziejach, o jej pracy, o jej męczeństwie. A niemieczyna świeci do-
koła bogactwem, kulturą, potęgą. Mógł w niej utonąć, jak kropla tonie w morzu. A gdyby doszedł do bogactwa, dzieci jego

wróciłyby może do Ojczyzny ojca, jako Niemcy

Ale gdzieś, kiedyś do duszy zapadła Janickiemu isierka miłości Ojczyzny. A dusza jego snadź ze szlachetnych złożona pierwiastków, bo iskra rozgorzała w wielki płomień i stała się dlań treścią dążeń, przewodnikiem życia. Poczucie obowiązku obudziło się w nim wyraźne, silne — więc wie, poco żyje, co ma robić.

Tęskni za krajem, w chwilach odpoczynku widzi go oczyma duszy. Rośnie w nim pragnienie służenia Ojczyźnie, chociaż daleka. Nauczył się pisać i czytać sam. Gromadzi rodaków — przypomina im, że tam, za górami i rzekami, jest Polska, udręczona, poniżona, pragnąca, że im i dzieciom nie wolno zapomnieć o matce, ale trzeba treść życia jej poświęcić.

Miłość Janickiego nie jest jałowem uniesieniem, nie kończy się czczą deklamacją. Rozumuje bardzo mądrze: chcąc być godnym, silnym synem Polski, trzeba zwalczyć słabości natury ludzkiej, które wycieńczają i znieprawiają; nie wolno oddawać się pijactwu, ani rozpucie, nie wolno być karciarzem. I znalazłszy się raz w kraju rodzinnym, w lesie sosnowym, pod krzyżem, złożył ślub uroczysty, iż wyrzeka się tych czterech nałogów na całe życie — dla Polski. Miał wtedy lat dziewiętnaście.

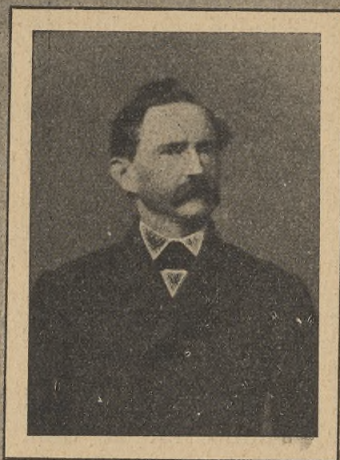
Myśl, że przynależność do narodu polskiego obowiązuje go do cnót wielkich, do służby bezinteresownej innym — nie opuszcza go ani na chwilę. Wie i pamięta, że narodowi służyć mogą jedynie ludzie dobrzy. Pod wpływem tych przeświadczeń staje się człowiekiem niepospolitym.

* * *

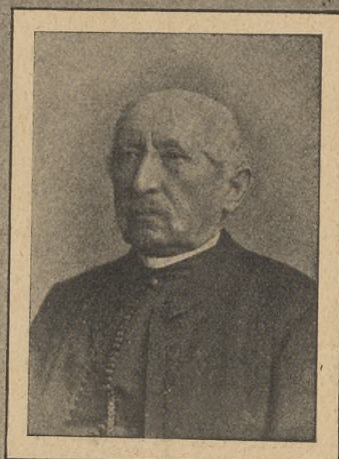
Czytanie „Listów“ Janickiego, wywiera wrażenie wielce podniosłe. Widzi się na przykładzie żywym, jak błogosławione skutki sprowadza miłość Ojczyzny. Przeradza człowieka. Daje mu potęgę. Czyni go siewcą przyszłości: słowa jego i czyny stają się jak gdyby ziarnami — z każdego kłosa plenny a pożywny wyrośnie.

I czuje się pragnienie gorące: więcej, jak najwięcej miłości Ojczyzny. Z niej wytrysnie źródło życia nowego. Dusza ludzka stanie się przybytkiem miłości i dobra. Na ziemię przyjdzie szczęśliwość, bo człowiekowi nie będzie wilkiem, lecz bratem.

Dzieci.



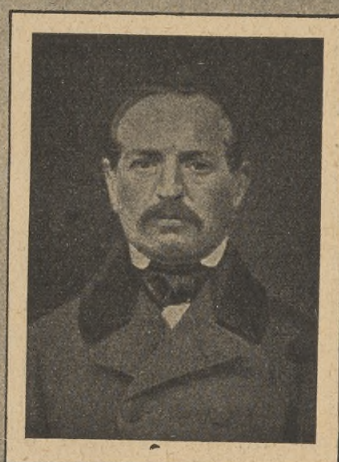
Dr. Hipolit Cegielski.



Antoni Krzyżanowski.



Dr. Ludwik Rzepecki.

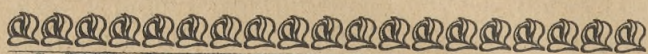


Antoni Sobecki.

Założyciele Banku Przemysłowców w Poznaniu.
Okres I. 1861—1875.

A w naród wstąpi mądrość i moc nieprzewyciężona.

Szkoła pruska nie zdołała w Janickim zgasić iskry Bożej — miłości Ojczyzny. Jaką szkodę byłyby wyrządziły, gdyby im się udało? Znieprawilyby duszę ludzką! A na ilu duszach udało się im ta straszliwa operacja!



Utalentowane dzieci łatwo uczyć, ale bardzo trudno wychowywać, przysparzają one rodzicom wiele radości rozwojem umysłowych zdolności i postępami w naukach, ale też bywają przyczyną zmartwień, wybuchającym temperamentem i samowolą. Myślę tu głównie o tych małych, żądnych panowania, dogadzania ich zachciankom, wybijających się z pod rozkazów rodzicielskich, raczej kierujących samowolnie nimi. Są to tak zwane „dzieci niedzielne“, którym nie jest trudnem, wszystko przewyciężają z łatwością, uczą się z łatwością, nad swój wiek bywają rozsądne, interesują się wszystkim, zastanawiają nad rzeczami, które im jak najdłużej powinny być obce, debatuja ze starszymi i — zaprzeczyc nie można, czarują ich dowcipem, świeżością pomysłów, naturalnością poglądów; takim przebachamy mimowolnie wiele, przeoczamy niejedno, pomimo, że tyranizują, wolę swą przeprowadzają i utrudniają prowadzenie ich wychowania. Jeżeli wychowanie polega przede wszystkim na zgłębieniu

natury, charakteru, odnośnej osobistości, szczególnie to zatem potrzebne przy usposobieniu dzieci powyżej opisanych. Od pierwszych chwil, kiedy ich rozum się budzi, trzeba dzień w dzień zajmować się tymi małymi ludźmi, żyć ich wrażeniami, czuć niejako nad każdym postępem w rozwoju ich umysłu, badać ich fantazyę i umieć w stosowny sposób powstrzymać jej wybuchłość.

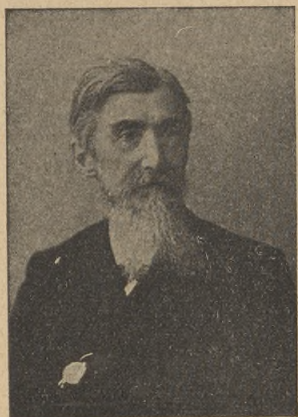
Umysł dzieci, wcześniej rozbudzony, wzbogaca się i rozwija bardzo prędko, jedno

niestosowne pociąganie, jedna niedbałość ze strony wychowującego, może stać się przyczyną bardzo niepożądanych następstw, dających z trudnością się naprawić. Dzieci utalentowane, chociaż bardzo jeszcze młode, posiadają przeważnie bardzo rozwiniętą ambicję, chociażby były dziecinne, naiwne, można daleko prędzej przeprowadzić swą wolę nad nimi powagą, łagodnością, omówieniem z nimi zła, które wyrządziły kłamstwem, nieposłuszeństwem, lub innemi tego rodzaju przekroczeniami, aniżeli karząc je lub bijąc za wszystko.

W ten sposób karane dziecko, któremu nie wytłumaczy się, dla czego to lub tamto jest złem, mało zastanawia się nad złem, myśli tylko o karze, którą odebrało i często traci przywiązanie do jej wykonawców, staje się zatwardziałem.

Koniecznie trzeba wytłumaczyć, szczególnie rozsądnym dzieciom, różnicę między złem i dobrem, nauczyć je, że: nie dla tego nie trzeba źle czynić, że za to nastąpi kara, ale dla tego, że godności człowieka ubliża złe postępowanie.

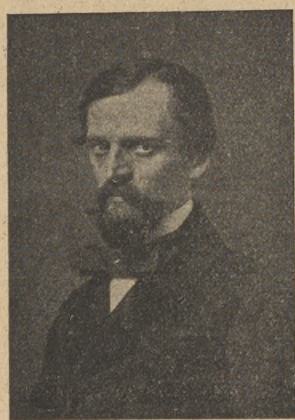
Chęć dowiedzenia się wszystkiego i pytania „mądrych dzieci”, wprawiają nieraz w kłopot wychowawców; muszą zastanowić się, by stosownie do wieku pytającego jasno i zadawalniająco odpowiedzieć. Dwuznaczna odpowiedź pobudza dziecko do jeszcze większej ciekawości i badań; stawiając pytania, dziecko prawdopodobnie dawno już się zajmuje przedmiotem, o który wypytuje; jasna, treściwa i rozsądna odpowiedź, sprawi, że dziecko o niestosownym przedmiocie wprędce zapomni, zamiast niepotrzebnie nim się zajmować.



Prof. Dr. Wład. Nehring.



Radzca Stanisław Motty.



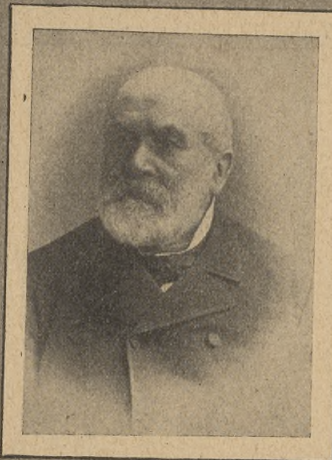
Hr. Jan Mielżyński.



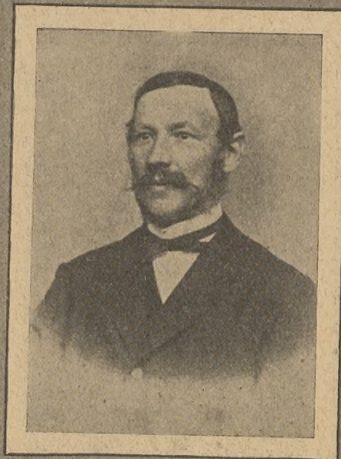
Jakób i Emil Kajkowski.

Założyciele Banku Przemysłowców w Poznaniu.
Okres I. 1861—1875.

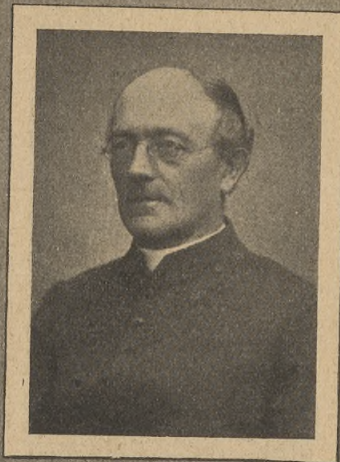
Naturalnie, wychowujący musi się postarać, ażeby w miejsce niepotrzebnego przedmiotu, zająć umysł dziecka czemś zajmującym i stosownym i jak najdłużej zostawić mu urok dziecięctwa i niewinności... Gdyby nauczyciele domowi i rodzice — nie czynili, jak to się często zdarza, z takich „wybrańców natury” rozwiniętych umysłowo dzieci, „cudownych dzieci”, ale starali się korzystać z ich zdolności, wykorzystując je na rozbudzanie szlachetności duszy i serca, ileż to



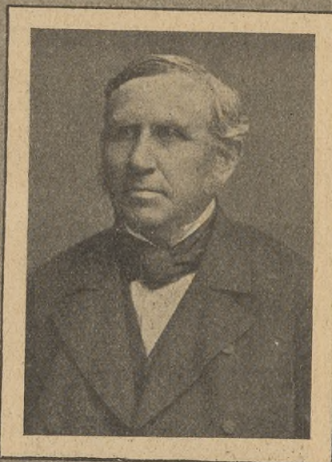
Jan Kryśiewicz.



Mikołaj Magnuszewicz.



Ks. Józef Zenkteller.



Józef Zeyland.

Założyciele Banku Przemysłowców w Poznaniu.
Okres I. 1861—1875.

takich „geniuszów“ zamiast zmartwieniem a nawet nieszczęściem, stałoby się radością i dumą rodziców i przyjaciół!

Zaniedbane pole wychowania narodowego.

Już przeszło ćwierć wieku istnieje Sokółstwo pod zaborem pruskim, lecz idea

kiem zrozumienia dla ważności wychowania fizycznego wśród naszej inteligencji, a wówczas znajdzie się z pewnością czas na gorliwsze zajęcie się tą sprawą. Powinna wśród nas zbudzić się wreszcie świadomość, że wychowanie fizyczne jest nierozdzielnie związane z wychowaniem narodowym.

Do przeświadczenia tego inne narody doszły już dawno. Nie szukając dalszych przykładów, przypatrzmy się tylko Niemcom. Szkoła ich coraz większy kładzie nacisk na

sokola dotąd nie zdołała przeniknąć społeczeństwa. Nie ma u nas zamięłowania do ćwiczeń cielesnych, dla ich ważności brak zupełnie zrozumienia.

W pewnym gronie inteligencji dyskutowano przed niedawnym czasem nad ważnością ćwiczeń fizycznych wszelkiego rodzaju z szerokiego narodowego punktu widzenia, podnoszono fakt, iż ubiegły nas na tym polu inne narody, które zupełnie słusznie wychowanie fizyczne uważają za niemniej ważne, niż wychowanie moralne, intelektualne i estetyczne.

Na uniewinnienie dotychczasowego małego zainteresowania się naszego tą kwestią podnoszono z drugiej strony, że społeczeństwo nasze, żyjąc w warunkach wyjątkowo trudnych, zmuszone bez

ustanku toczyć zaciętą walkę o byt swój codzienny, nie ma poprostu czasu na skierowanie swych dążeń także w tym kierunku.

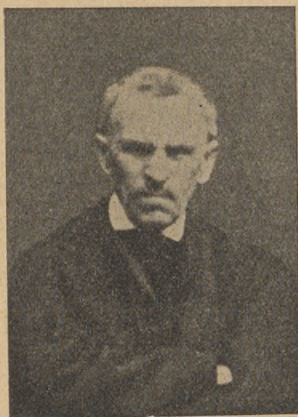
Takie stawianie kwestyi jest jednak z gruntu fałszywe. Jako narodowi pragnącemu się ostać, nie wolno nam zaniedbywać niczego, co do życia jest nam konieczne potrzebne. Trzeba jedynie dobrych chęci, trzeba przede wszystkim

wychowanie fizyczne, lecz to im nie wystarcza. Starają się oni szerzyć zamiłowanie do ćwiczeń cielesnych, do sportów także w młodzieży, która szkoły już ukończyła. W tym celu gminy i władze administracyjne wszelkiego rodzaju starają się na każdym kroku o ułatwianie tejże młodzieży uprawiania ćwiczeń cielesnych przez zakładanie placów sportowych, przez odpowiednie wykłady; po miastach naszych i miasteczkach tworzą się towarzystwa opieki nad młodzieżą (Bund für Jugendpflege), dbając przede wszystkim o rozwój fizyczny. Nie wystarczy bynajmniej nawoływać naszą młodzież, by nie wstępowała w szeregi, do których ciągną ich te towarzystwa, lecz trzeba nam samym stworzyć coś pozytywnego, co młodzież naszą będzie tak samo przyciągało.

Inaczej ci obcy nas ubiegają i kierować będą sami sprawą wychowania fizycznego naszej polskiej młodzieży, które powinno być ściśle narodowym, powinno być częścią naszego wychowania ogólnego.

Mamy coprawda organizację, obejmującą całą niemal Rzeszę niemiecką, organizację, której celem jest wychowanie fizyczne swych członków.

Mamy naszego „Sokoła”. Otwarcie wszakże powiedziawszy, Sokół nasz nie może należycie rozwinąć skrzydeł swych, gdyż brak mu poparcia ze strony tych, co na działalność jego patrzeć powinni z wyżej zakreślonego stanowiska, brak mu zupełnie niemal poparcia inteligencji. I to dla tego, że inteligencja nasza, tak jak inteligencja innych narodów, nie umie patrzeć na Sokola z szerszego punktu widzenia. W obcych to-



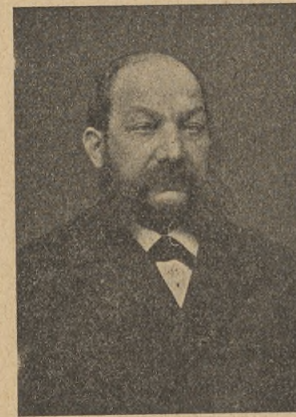
Radzca Leon Chlebowski.



Cyryl Adamski.



Wojciech Mager.



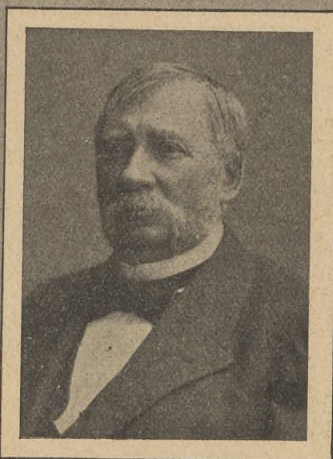
Antoni Pfitzner.

Członkowie Komitetu Banku Przemysłowców w Poznaniu.
Okres II. 1875—1891.

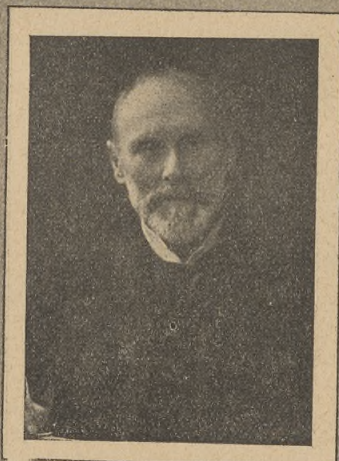
warzystwach gimnastycznych widzimy wśród drużyn ćwiczących lekarzy, adwokatów, profesorów, w Sokole naszym nie ma ich zupełnie. Minister angielski z największym zamiłowaniem uprawia sport, kopie piłkę nożną, podczas gdy u nas każdy niemal t. zw. inteligent uważałby sobie za użyczenie, za uchybienie swej godności, gdyby miał grać w piłkę. Co obcy uważają za rzecz poważną, to u nas uważa się za objaw dziecinnej swawoli. Wobec tego nasze polskie towa-



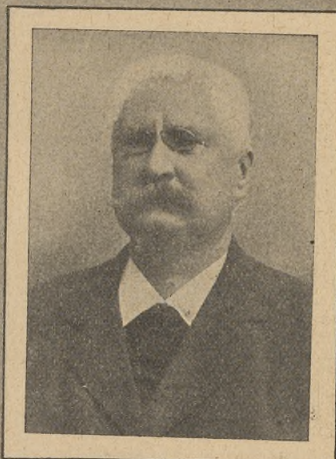
Władysław Kortak.



Prof. Dr. J. Szafarkiewicz.



Radzca Dr. I. Zielewicz.



Dr. Józef Kusztelan.

Członkowie Komitetu i Rady Nadzorczej Banku Przemysłowców w Poznaniu. Okres II. 1875—1891.

rzystwa gimnastyczne nie mogą się rozwijać, muszą stać na martwym punkcie.

Pod tym względem nie zanosi się niestety na zmianę pojęć w niedalekiej przyszłości. Młodzież nasza uniwersytecka stroni dotąd jeszcze tak samo od ćwiczeń fizycznych, tak samo nie ma dla nich zrozumienia, jak starsza inteligencja, mająca już swe stanowiska.

Uwagi te cisną się nam pod pióro wobec bliskiego srebrnego jubileuszu Sokoła poznań-

skiego. Mimo ćwierćwiekowej działalności jego wyniki nie są takie, jakimi być powinny. W odezwie, dotyczącej srebrnego jubileuszu, wyrażano życzenie, by społeczeństwo wreszcie zechciało zrozumieć ważne zadanie Sokoła, by jubileusz ten wyrwał je z dotychczasowej obojętności dla sprawy wychowania fizycznego.

Może przyczyni się do tego publiczny występ gimnastyczny, jaki odbędzie się z okazji jubileuszu, a więcej jeszcze „Srebrna Księga Sokoła Poznańskiego“, która ma nam dać możliwie wyczerpujący obraz obecnego stanu wychowania fizycznego u nas oraz u obcych.

Sokołowi poznańskiemu życzymy z całego serca, by jego jubileusz srebrny takie przyniósł całemu społeczeństwu korzyści, o jakich mówiliśmy na wstępie.



Zabawy Amerykanów.

Wyszedł obecnie z druku tomik obrazków amerykańskich, nakreślony felietonem piórem przez p.

B. Merwina. Jest to rzecz, pisana bezpretensjonalnie, a czyta się ją z niemałym zajęciem. Jeden z rozdziałów poświęca autor rozrywkom Amerykanów i tak opisuje zabawy, urządzone na wyspie Coney Island, opodal Nowego Jorku:

„Amerykanin nie zna rozrywki w naszym znaczeniu. Zabawy Europejczyków uważa za nudne i głupie. Sporty, które u nas uchodzą za zabawę, traktuje jako pracę. Gra w piłkę i jazda konna, wioślarstwo i strze-

lanie do celu, nie są dla Amerykanina rozrywką, lecz jedną z funkcji życiowych, tak samo naturalnych i koniecznych, jak jedzenie, sen, mycie się.

Bawić się — to dziwić się. Zabawa — to sensacja. Rozrywka — to karkołomne połączenie najwyrafinowańszej techniki z najgroźniejszym niebezpieczeństwem.

Z tego punktu widzenia z pogardą patrzy Amerykanin na bawiących się Europejczyków. Ci po pracy dziennej domagają się ukojenia nerwów, harmonii dźwięków, wywczasu wśród błęgiego dolce far niente, on przeciwnie: po monotonnej maszynowej pracy dnia domaga się podbiczowania nerwów, podrażnienia, najsilniejszych kontrastów i najmocniejszych emocji.

Coney Island jest też idealnym miejscem rozrywki dla Amerykanina. Wyobraźcie sobie wyspę, zalaną potokami światła elektrycznego. Spływa ono z wież kilkunastopiętrowych, snuje się wzdłuż olbrzymich hal, wytryska z głębokich tuneli, stacza migocącym żarem po ścianach białych pałaców, wiąże się w festony i olbrzymie kwiaty, jarząc się na dnie przepaścistych dołów i pełza po powietrzu, przytwierdzone doń niewidocznymi w nocy sztalugami.

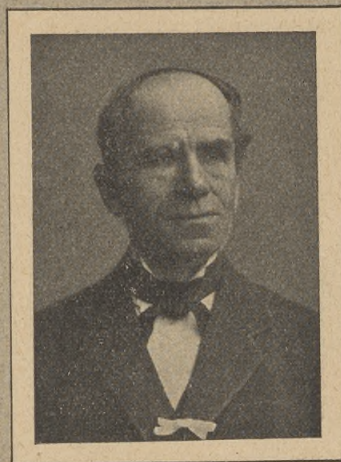
Miliony światła krzyczy w noc i kusi i nęci... Oto cały dom od ziemi po najwyższy punkt dachu skąpany jest w świetle, stanowiącem w oddali kilkunastu metrów jasną, srebrnawo żarzącą się taflę. Tam znowu z gęstwiny mroków wystrzela ku górze gigantyczny słoń, utworzony z kombinacji lampek elektrycznych, na niewidocznym zgoła podmurowaniu. A tam leci ku nie-

biosom olbrzymi skrzydlaty anioł, skrzący się tysiącami barw, ulatuje na wysokość kilkudziesięciu metrów — i nagle zagasa, rozplywa się w nicość, zatraca się w mrokach...

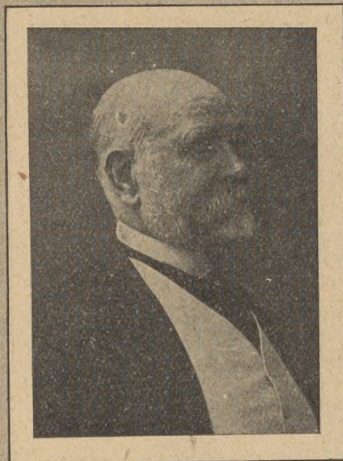
Elektryczność wyprawia te cuda. Z największą pomysłowością i wirtuozowstwem łączy się najprymitywniejsza pobudka: tak jak naszemu dziecku pokazuje się fajerwerk, aby je olśnić — tak wielkim dzieciom Ameryki pokazuje się masy elektryczności. Chodzi



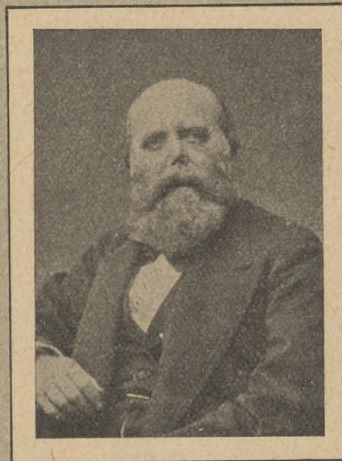
Bolesław Leitgeber.



Radzca Dr. Wit. Milewski.



Dr. Sylwester Buski.

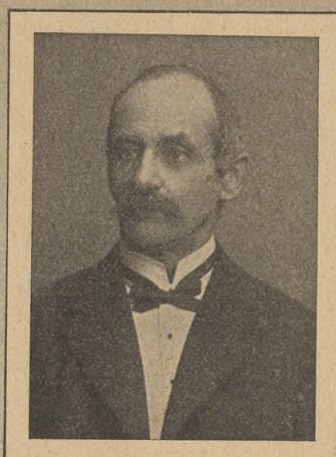


Kazimierz Kantak.

Członkowie Zarządu Banku Przemysłowców w Poznaniu.
Okres II. 1875—1891.



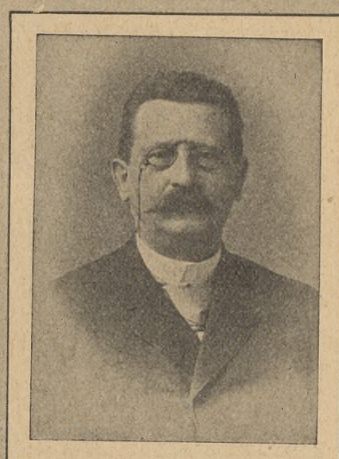
Henryk Rechter.



Józef Wache.



Feliks Rakowski.



Dr. Wawrz. Grodzki.

Członkowie Zarządu Banku Przemysłowców w Poznaniu:
Henryk Rechter, kontroler, Józef Wache, skarbnik, Feliks Rakowski, kontroler
od 6. 7. 77 do 20. 11. 78 r., następnie dyrektor od 20. 11. 78 do 16. 2. 91 r.
i Dr. Wawrzyniec Grodzki, przez Rady Nadzorczej od 1891 do 1899 r.

tylko o ilość używanego światła, by efekt osiągnąć. W Pipidówce wystarczy pyrotechniczna zabawka — w Coney Island muszą być nagromadzone takie masy światła sztucznego, którymi snadnie możnaby oświetlić wszystkie większe miasta.

Statki, koleje i elektryczne wozy, zwożące wprost od pracy dziennej setki tysięcy ludzi na Coney Island, wprowadzają odrazu w świat cudów technicznych. Człowiek, któ-

nieprzejrzana, a hen w górze firmament i gwiazdy. Na platformie znajduje się łódka. Zajmujemy miejsca i nagle: niemal prostopadle staczamy się w dół! Łódka mknie z taką szybkością, iż patrzącemu przed siebie zdają się domy i ziemia, niebo i drzewa, jedną zamazaną, drgającą masą. Serce poczyną żywiej pukać, przez głowę przelatują myśli o największej zgrozie ostatniej w życiu chwili. Szybkość łódki, staczającej się

rego wytyczną jest możliwa praktyczność, trzeźwość, posunieta do najwyższych granic, zrównoważenie, graniczące ze zubożeniem — tu w tem jaskrawem, krzyczącym nadmiarem efektów miejscu, w pośród przeładowania sensacyjnością i groteskowością, przeżywa tu emocje, jakich właśnie w życiu codziennym najstaranniej unika.

Dla typowego Amerykanina jest prawo wydatkowania jak najmniejszej energii dla jak największych rezultatów bożyszczem — tu, na Coney Island, dzieje się właśnie przeciwnie: jak największa energia zużywa się dla najmniejszych i najbłahszych efektów, idzie na marne moc siły. I to go właśnie bawi, to mu sprawia satysfakcję.

Lecz wejdźmy w ten zaczarowany kraj.

„Dreamland“ lub „Luna-Park“.

Winda wznosimy się ku górze. Jest nas kilkanaście osób. Wreszcie znajdujemy się na drewnianej platformie, wznoszącej się ponad ziemią. Wysokość kilkunastu pięt. Nad nami fala powietrzna, skąpana w świetle, pod nami szczyty domów i ciemne punkciki — mrowisko ludzkie. — Dokoła ciemność

w dół, dochodzi do maksymalnych granic. Leci się na łeb i szyję, bez świadomości już stanu, w którym się znajduje. — Jedno tylko pragnienie przebiega świadomość: jakby się stąd wydostać, wyratować... I oto w tem najwyższym napięciu, graniczącem z utratą świadomości i przytomności, dostrzega rozszerzona źrenica nowe, straszne niebezpieczeństwo: łódka wali z góry wprost w toń, wpada w wodę, już dotyka tafli wód, ścielących się u kresu drogi...

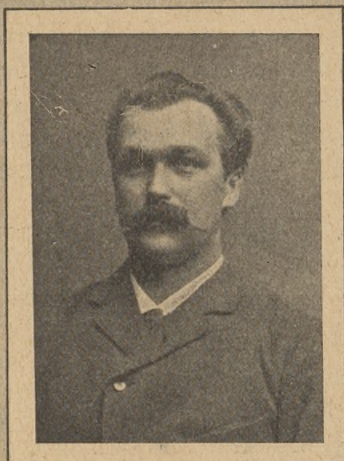
Jeden jeszcze moment... Okrzyk przerażenia! I najspokojniej w świecie zatrzymuje się łódź na powierzchni spokojnej szarych dzawki...

Ulga — pomaganie paniom przy wysiadaniu — i głośnie śmiechy... Wyimaginowane niebezpieczeństwo minęło. Panna, pisząca cały dzień na maszynie i kupczyk, sprzedający od rana do wieczora mydło, uciekli na tę jedną chwilę złudnego niebezpieczeństwa i niesfałszowanej emocji od szarżowny życia...

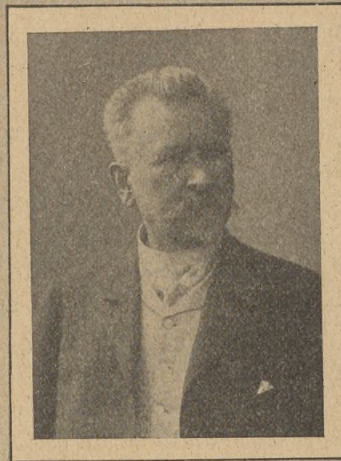
A teraz ulećmy pod niebiosami. Dawniej ulatywała kochająca się parka w te regiony myślami. Wystarczało się na murawie, pod baldachimem drzew, wsłuchać się w głosy sere

— i lecieć... lecieć... Teraz pomaga kochającej się parce aparat elektryczny w „Luna Parku“. Oto olbrzymi hangar, w którym huczy i dudni aeroplan. Młody awiatyk kieruje sterem. „Tylko spokojnie! — uprzedza — kto się wychyli, zleci z wysokości tysiąca metrów i dostanie takiego szcztuka w nos od matki-ziemi, że się nie podniesie“. Siadamy więc całkiem spokojnie i po chwili

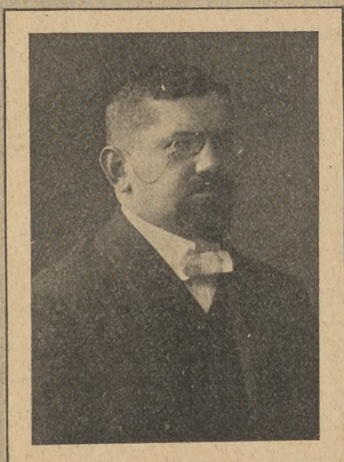
aeroplan ulatuje w przestwór. Co za bajeczne widoki dokoła! Kłęby chmur, pędzących po przestworzach... Na dole: setki tysięcy dachów, coraz bardziej się oddalających, zatoka, po której płyną majestatyczne okręty. Wreszcie wszystko znika. Aeroplan wzbił się ponad chmury, przegradzające widok na ziemię, lecz cóż to? Grzmoty? Huk, tak straszny, iż zda się rozerwie bębni uszu.



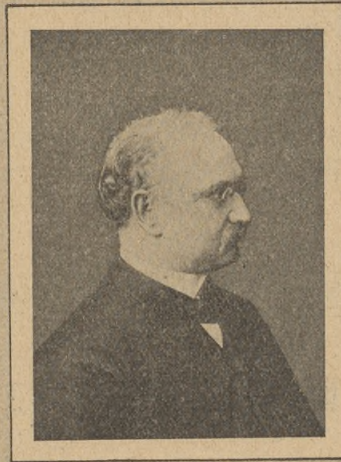
Stanisław Ołyński.



Michał Więckowski.



Dr. Kazimierz Hącia.



Syndyk Józef Thiel.

Członkowie Zarządu i Rady Nadzor. Banku Przemysłowców w Poznaniu. Stanisław Ołyński, zastępca prezesa Rady Nadzorczej od 1895 do 1899 r., następnie prezes tejże Rady od 1899 do 1902 r., Michał Więckowski, dyrektor od 10. 6. 91 do 1. 12. 07 r., Dr. Kazimierz Hącia, skarbnik od 1902 do 1. 12. 07 r., następnie kontroler od 1. 12. 07 do 1. 11. 09 r., Józef Thiel, syndyk od r. 1875.

Po powietrzu latają zygzakami i oświetlają ciemności błyskawice. Burza nadciąga! Aeroplan mknie z zawrotną chyżością poprzez rozbrykane fale powietrzne, wśród ryku i syku, wśród oślepiających światła. I nagle: katastrofa! Aeroplan przechyła się, jedno skrzydło odpada, łomot i trzask walących się desek i drutów, aparatów i siatek — na złamanie karku lecimy w dół! Oho, pożegnaj się ze światem, już domu nie ujrzysz i... felietonu nie napiszesz... Stajemy nagle... Śmiejąc się, pokazuje nam kapitan napowietrznego statku budę hangaru, z której się wogóle nie ruszyliśmy. Aeroplan cały czas jazdy był nieruchomy. Cudownie sporządzone obrazy ruchome naśladowały niebo i chmury, gromy i błyskawice, dachy i ziemię.

Byliśmy po prostu w kinematografie, a siedzieliśmy na aeroplanie. Przeróżne aparaty naśladowały głosy natury, szum wiatru, huk gromu, wspaniałe obrazy wywoływały nieustanną zmianę dekoracji. Aniśmy w górę nie ulatywali, aniśmy w dół nie spadali... Wszystko było fałszywe, prócz emocji, którąśmy przeżywali. Za dziesięć centów kupiliśmy sobie najsilniejsze emocje.



Romantyczna historia.

Od lat jedenastu toczyła się przykra dla społeczeństwa naszego walka, pełna szczegółów, jakby wyjętych z fantastycznych romansów, walka o dziecko. Dzieckiem tem, dziś już 14-letnim gimnazystą, jest Józef Adolf Stanisław hr. Węsierski-Kwilecki, syn hr. Zbigniewa Węsierski-Kwileckiego, ordynata na Wróblewie i zmarłej jego przed 2 laty żony, Izabeli z hr. Bnińskich, czy też nieślubnego dziecka Cecylii Parczy, żony dróżnika kolejowego Mayera z pod Krakowa.

W ostatnim terminie przed sądem Rzeszy w Lipsku skarga tejże Mayerowej Parczy o wydanie jej dziecka została odrzucona, a wyrok poprzedniej instancji, sądu nadziemiańskiego w Poznaniu, został skasowany. Przytem sąd Rzeszy stanął na gruncie czysto formalnej litery prawa i nie zbadał rzeczowo, czy Józio Węsierski-Kwilecki jest istotnie synem hr. Zbigniewa i jego małżonki czy też podsuniętem przez nich nieślubnem dzieckiem Mayerowej-Parczy, tylko rozstrzygnął, że skarga z góry była nieuzasadniona,

gdyż należało ją wytoczyć dziecku, a nie domniemanemu ojcu, który w metryce cywilnej jako taki jest zapisany, a czego drogą skargi osoba trzecia nie może zaczepić. Z tego też powodu sąd Rzeszy nie cofnął sprawy, jak to się zwykle praktykuje, z powrotem do instancji poprzedniej do ponownego zbadania, tylko zniósł ją zupełnie, tak, że



Hr. Józio Węsierski-Kwilecki.

na razie Józio Kwilecki pozostaje tem, czem w metryce jest zapisany i po śmierci hr. Zbigniewa Węsiersko-Kwileckiego, domniemanego ojca, dziedziczyć będzie majorat wróblewski.

Sprawa nie jest więc jeszcze ostatecznie załatwioną. Mayerowa Parcza mogłaby jeszcze wytoczyć obecnie proces o zapisanie dziecka, które — niesłusznie, czy słusznie — nazywa własnem, w księgach stanu cywilnego pod jej nazwiskiem panięńskiem. Zależnem to jednak będzie od tego, czy przyznanem jej zostanie świadectwo ubóstwa, na mocy którego sądy bezpłatnie sprawą jej się zajmą.

Proces o wydanie rzekomego syna Mayerowej-Parczy toczy się od r. 1905, w rzeczywistości jednak jest on dalszym niejako ciągiem albo wznowieniem głośniejszej u nas i w całym świecie sprawy, która przez lat kilka również toczyła się już przedtem w rodzinie hr. Kwileckich o tegoż chłopca, jako o spadkobiercę majoratu wróblewskiego i która początkiem swym sięga nieomal samej chwili narodzin chłopca.

Majorat wróblewski, utworzony w roku 1840, obejmuje obszar 16 000 mórg magdeburskich burskich i przynosi dochodu rocznego 60 000 mk. Dziedziczy się tylko w linii męskiej.

W początku r. 1896 rodzina obecnego ordynata na Wróblewie Zbigniewa hr. Kwileckiego-Węsierskiego i 51-letniej już wówczas hr. Izabeli, składała się z 3 córek, z których najmłodsza hrabianka Marya urodziła się w dniu 12 października 1879 roku. Jedyny syn, jakiego do tego czasu mieli hr. Zbigniew i Izabela Węsierscy-Kwileccy zmarł w r. 1868. W razie śmierci hr. Zbigniewa, który w tym czasie zapadł ciężko na influencję i dla poratowania zdrowia udał się do Montreux, ordynacja wróblewska przeszłaby była na linię oporowską, na Mieczysława hr. Kwileckiego, względnie na syna jego hr. Hektora, względnie na jego wnuka hr. Dobiesława Kwileckiego.

Do Montreux pojechała za chorym hr. Zbigniewem żona jego i powróciła stamtąd — jak głoszą — w stanie błogosławionym. Zamiarowi jej odbycia połogu w Paryżu sprzeciwili się agnaci, hr. Franciszek, hr. Mieczysław i hr. Hektor Kwileccy, którzy w liście z października t. r. zażądali od niej, żeby połów odbył się w kraju.

Po przybyciu na świat Józia agnaci nie wierzyli w jego prawe pochodzenie i ze zdaniem tem nie taili się wcale. Wówczas hr. Zbigniew wytoczył w r. 1900 proces hr. Mieczysławowi, jako najbliższemu agnatowi majoratu wróblewskiego o uznanie Józefa Adolfa Stanisława Węsierskiego-Kwileckiego, jako ślubnego syna jego i hr. Izabeli i jako najbliższego spadkobiercę majoratu wróblewskiego. Wyrokiem zaocznym z dnia 30 marca r. 1901 hr. Mieczysław Kwilecki został na to zasądzony.

Staraniem hr. Hektora Kwileckiego rozpoczęto wtedy w lipcu 1902 roku postępowanie karne przeciwko hr. Zbigniewowi i hrabinie Izabeli Kwileckim, przeciwko towarzyszkom hrabiny: Knoskiej i Chwiałkowskiej oraz przeciwko akuszerce Ossowskiej — o podsunięcie dziecka, względnie o krzywoprzysięstwo. Smutny ten proces toczył się przez cały miesiąc przed sądem kryminalnym w Moabie-Berlinie, a wynikiem jego był wyrok, którego mocą 25 listopada 1902 r. nastąpiło uwolnienie oskarżonych od odpowiedzialności.

W trzy lata później dopiero, w lutym 1905 r. wytoczyła Mayerowa-Parcza proces hrabinie i hrabiemu Węsiersko-Kwileckim na drodze cywilnej o wydanie jej dziecka, o którym twierdziła, że jest jej, w r. 1896 przez nią urodzonym synem Leonem Franciszkiem.

Sąd ziemiański, jako pierwsza instancja, wydał dnia 14 czerwca 1907 r. wyrok, domagający się, aby Izabela hr. Węsiersko-Kwilecka złożyła

przysięgę, że nie jest prawdą, iż zmarła Aniela Andruszewska przed dniem 27 stycznia r. 1897 lub dnia 27 stycznia przywiozła jej z Krakowa do Berlina chłopca, nazywającego się obecnie Józefem hr. Kwileckim. Jeżeli oskarżona hrabina przysięgi tej nie złoży, oskarżeni skazani zostaną: 1) przyznanie, że Józef Kwilecki nie jest ich synem, tylko jest synem powódki, 2) na wydanie jej rzeczonego Józefa Kwileckiego i na poniesienie kosztów.

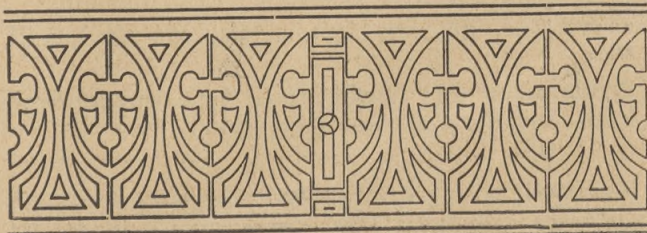
Przeciw temu wyrokowi wniosła Mayerowa-Parcza apelację. Hr. Mieczysław Kwilecki i wnuk jego hr. Dobiesław Kwilecki wyrokiem z dnia 12 grudnia t. r. dopuszczeni zostali jako interwenienci.

Sprawę rozważał na nowo w końcu 1909 r. sąd nadziemiański, odrzucając apelację hr. Zbigniewa Węsiersko-Kwileckiego i stwierdzając, że rzekomo 27 stycznia 1897 urodzony, dnia 30 stycznia tegoż roku na III urzędzie stanu w Berlinie w metryce urodzeń jako hr. Józef Kwilecki zameldowany chłopiec nie jest synem oskarżonego hr. Zbigniewa Węsiersko-Kwileckiego i jego w lutym roku 1909 zmarłej żony hrabiny Izabeli, tylko jest synem powódki Mayerowej-Parczy. Oskarżony hr. Zbigniew Węsierski-Kwilecki zostaje zasądzonym na oddanie go powódce.

Oto rys historyczny romantycznej walki o dziecko. Nie można się w gruncie rzeczy dziwić, że obie linie hr. Kwileckich pragną sprawę przeprowadzić na własną korzyść, lecz — powtarzamy — w interesie społeczeństwa leżałoby, by sprawa ta wreszcie ucichła.

Pozatem względ jeszcze jeden. Dla przedmiotu nieszczęsnego sporu, dorastającego powoli Józefa hr. Kwileckiego, musi być walka ta istotną męką, piekłem. Poczucie ludzkości nakazuje wprost stanąć po jego stronie, życząc mu, by go nie wydzierano gwałtem z warunków, wśród których wzrósł, z jakimi się żył, by go nie unieszczęśliwiano na całe życie.

W każdym razie odczekać należy jeszcze czas pewien, a dopiero wówczas będzie można powiedzieć, że spór ten nieszczęsny przeszedł do historii.





Z miasta odbieramy następujące pismo:

Szanowną Redakcyę upraszam o łaskawe zamieszczenie poniższego listu, który przypadkowo dostał się do moich rąk. Ponieważ niema nazwiska, nie mogę się domyślić, do kogoby był skierowanym.

Z poważaniem
Michał Rozumowski.

Szanowny Panie Mecenasie i Obrońco niewinności!

Jeżeliby wieści, które nas z Kuryera Poznańskiego i Dziennika Poznańskiego dochodzą, jakoby Szanowny Pan Mecenas stanął w obronie biednego i niewinnego szpicla policyjnego, nie mającego szczęścia przy otwieraniu skrzynki do listów w biurze Straży, (podobno powiedział Pan, że dr. Schroeder uplanował nagankę „Hetzjagd“ na owego szpicla) okazały się prawdziwemi, w takim razie nie wiemy, jak Panu Mecenasowi podziękować.

Jesteśmy rzeczywiście ścigani jako te dzikie zwierzęta, albo jak biedne łanie, przez zapamiętałego myśliwca.

W Krakowie pakują nas do dziury pod Telegraf, albo przez kontrolę, zupełnie nie stosowną i antyrządową, uniemożliwiają nam wszelką pracę.

Bezczelny Burcew i nieczny zdrajca Bakaj coraz więcej utrudniają nam i tak już nie łatwe i niebezpieczne zajęcie.

Szczególnie mamy utrudnione stanowisko w Rosyi, dlatego prosimy jak najusilniej Pana Mecenas o łaskawe przesiedlenie się tam. Na obronę mógłby Pan Mecenas prawdopodobnie wyjeżdżać do Krakowa, do Paryża (co za cudowna perspektywa!!!)

Wartoby może się też zabrać do oczyszczenia nareszcie ś. p. Baerensprunga, tak przedwcześnie zdemaskowanego, i powiedziałbym tak bezpiecznie, przez tego kolorowego ułana Wł. Niegolewskiego.

Jeżelibyśmy się jednak mieli mylić, i notatka gazeciarska polegała na jakiejś omyłce reporterskiej, w takim razie oczekujemy wyprowadzenia nas z błędu, abyśmy się niepotrzebnie nie łudzili.

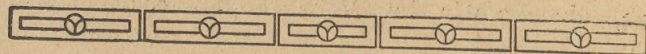
Zjednoczenie zawodowe szpicli i prowokatorów.
Agentura poznańska.



Nasze ilustracje.

W ostatnim zeszytzie naszego pisma podaliśmy widok gmachu Banku Przemysłowców w Poznaniu zewnątrz i szereg fragmentów z jego wnętrza, a nadto podobizny obecnych, w roku jubileuszowym, członków Zarządów i Rady Nadzorczej. Dziś, by wszystkich zasłużonych dla Banku mężów godnie uczcić, podajemy dalsze podobizny. I tak widzimy przede wszystkim nieżyjących już dziś członków założycieli tej potężnej dziś, najpotężniejszej instytucji bankowej polskiej, śp. dr. Hipolita Cegielskiego, Antoniego Krzyżanowskiego, wydawcę i redaktora dawniejszego Gońca Wielkopolskiego dr. Ludwika Rzepeckiego, Antoniego Sobieckiego, zasłużonego na polu piśmiennictwa polskiego prof. dr. Władysława Nehringa, Stanisława Mottego, Jana hr. Mielżyńskiego, Jana Kryświczę, Mikołaja Magnuszewicę, ks. Józefa Zenktelera i Józefa Zeylanda.

Dalej widzimy śp. radcę Leona Chlebowskiego, prezesa Banku od r. 1864 do 1866, śp. C. Adamskiego, zastępcę prezesa od r. 1866 do 1872, oraz śp. Wojciecha Majera, skarbnika od r. 1864 do 1866 i śp. Ant. Pfitznera skarbnika od r. 1866 do 1872. Na następnej tablicy widzimy śp. Kortakę, kontrolera Banku od r. 1880—1905, i prezesów Rady Nadzorczej śp. prof. dr. Józefa Szafarkiewicza od 1872—1875, radcę dr. Zielewicę od 1875—1881, śp. dr. Kusztelana od 1881—1887 r. Na dalszej tablicy znowu znajdujemy dyrektorów Banku: śp. Bolesława Leitgebra, który urzędował od marca do maja 1874, śp. radcę dr. Milewskiego od 1874—1876 r., śp. dr. Buskiego od 1876—1878 r., oraz kontrolera (od 1872 do 1874 r.) śp. Kantakę. Na dalszej tablicy znajdujemy dalszego dyrektora Banku śp. Feliksa Rakowskiego (od 1878 do 1891), kontrolera śp. H. Rechtera (od 1874—1877), skarbnika śp. Wachego (od 1879—1887) i śp. Grodzkiego, prezesa od (1891—1899), później (od r. 1890—1891 i 1901—1902) zast. prezesa Rady Nadzorczej. Na ostatniej wreszcie tablicy widzimy prezesa Rady Nadzorczej śp. Ołyńskiego (od roku 1899—1902), który w kilka lat później (od 1895—1899) piastował urząd zastępcy prezesa Rady. Dalej wieloletniego dyrektora Banku p. Więckowskiego, który na stanowisku tym utrzymał się od r. 1891—1907; dalej p. dr. Hącię, dzielnego i zasłużonego skarbnika Banku od 1902—1907, zaś od tego roku do 1909 kontrolera. A w końcu widzimy podobiznę p. Józefa Thiela, który od roku 1875 począwszy dzierży urząd syndyka Banku.



Kącik grafologiczny.

(Za nadesłaniem 1 marki 20 fenygów albo 1 kor. 50 hal. gotówką lub też w znaczkach pocztowych, podajemy oceny grafologiczne, jak niżej.)

„Hagne”. Zmienne położenie liter, mnóstwo sztychów niepewnych, wężkowaty kierunek linii i t. d. znamionują osobę o delikatnym ustroju nerwowym, a więc wrażliwą i drażliwą, czułą bardzo. Struny tej duszy są tak czułe, jak skrzypce kremonskie. Hagne pociąga słodyczą swego charakteru, chęcią służenia bliżnim, dobrocią, pobłażliwością w sądzeniu innych. Hagne jest może za dobroduszną, przyobiecuje więcej, niż jest w stanie dotrzymać — nie chce się nikomu narazić, nie umie odmówić, gdy kto prosi... „Zbytek dobroci słabością się zowie” — Hagne nie należy do ludzi silnych, lecz do dobrych — to bluszcz, który potrzebuje podpory, bluszcz, który chroni od spiekoty słońca i od wichrów jesiennych, bluszcz, który się łatwo nagina, lecz nie łamie.

Hagne zanedbta ufa swym siłom, za wiele żąda od siebie, zbyt się interesuje tem i owem, Hagne powinna się więcej oszczędzać, żyć spokojniej, siły swe fizyczne i umysłowe więcej skoncentrować. Jak zwykle u osób nerwowych, wrażliwych, wola jest słabo wyrobiona, kierują nią wpływy zewnętrzne, nuży się szybko, lecz zdolną jest do chwilowych wielkich wysiłków. Hagne jest z natury idealistką, lecz życie nauczyło ją patrzeć trzeźwo, wyzbyła się iluzji po ciężkiej walce wewnętrznej. Żywa jej imaginacja przedstawia jej nieraz fakta w zupełnie innem świetle, niż są rzeczywiście.

„Hala”. Jak na wiek bardzo młody, pismo znamionuje dość wysoki stopień kultury umysłowej, zarazem dużo pedanterji, pozowania i dobrowolnego przymusu. Hala przywiązuje zbyt wiele wagi do pozorów, do formy, sąd jej o rzeczy jest powierzchowny, zewnętrzna strona człowieka, jego strój, maniery obchodzą ją więcej niż jego istota. Hala woli rozkazywać niż słuchać; jest trochę szorstką w obejściu; woli uchodzić za sztywną, oziębłą, obojętną, niż ukazać całą swą głębię uczuć, zdaje się może, że i tak nie będzie zrozumianą, ztąd odbija się w jej piśmie nienaturalność. Hala chce w sobie wyrobić gwałtem, ażeby rozum oparował uczucia — usiłowanie takie tylko pod pewnym względem jest pochwały godnem. Niedobrze jest zajmować się zbyt swą małą osóbką, to doprowadzi do samolubstwa. Hala ma temperament żywy, bujny, umysł jasny i czynny, wno-

sić więc można, że przy dobrej woli pozbędzie się swych słabostek.

O pannie *Hali i Szczęsnej* orzec jeszcze trzeba, że nadmiar ich sił życiowych nie znajduje upustu, w stosunku do tychże zakres ich działania jest za ciasny; Hala i Szczęsna nie zaznały jeszcze co życie, co walka, co wysiłek woli, przełamanie swego „ja”, ztąd zajmują się te panny, jak tyle innych w pomyślnych żyjąc warunkach, zanedbta drobnostkami. Nadejdzie i dla nich czas żniw, czas znoju i pracy obowiązkowej, wtedy dopiero okaże się czem są, wtedy też pismo ich straci swą sztywność, owe kąty, ową nienaturalną pochylność w lewo, nabierze giętkości tak jak cała ich istota nagiąć się musi do życia, do otoczenia. Jeśli się niema złamać przedwcześnie.

X. Y. Z. Blondynka. Grafolog nie ma tak złego serca, ażeby o 16 latkach surowy sąd wydawać. Toć to kwiatek — a kwiat potrzebuje do swego rozwoju ciepła, słońca, deszczu — panienska zaś 16-letnia potrzebuje dobrego wpływu, opieki, miłości i pracy nad sobą, nad swym charakterem (a nie harakterem jak dużo osób błędnie pisze.) Blondynkę obdarzyła natura umysłem dosyć czynnym, jasnym, temperamentem żywym, zdrowemi nerwami, są to wszystko dary nieocenione. Brzydkich skłonności nie może się jakoś graf. w piśmie doszukać, to tylko nadmienić trzeba, że Blond. jest trochę upartą, samowolną, nie stara się nagiąć do woli innych, powinna wyrobić w sobie więcej łagodności. Blondynka jest także wygodną, ma sporo upodobania w sobie, zresztą jest sympatyczną, szczerą i obiecującą. Za rok prosimy znowu o pismo do oceny pod tym samym nagłówkiem, porównamy i zobaczymy, jak się Bl. rozwija, czy odpowiada nadziejom, jakie w niej obecnie pokładać można. Graf. interesuje się bardzo podlotkami i pragnie, ażeby wszystkie wykierowały się na dzielne Polki.

Kalendarzyk historyczny

od 28 maja do 3 czerwca

28. Bitwa pod Rajgrodem 1831 roku. — Ginie w walce Wincenty Koziół 1863 r.
29. Pokój w Budzie 1507 r.
30. Wjazd Napoleona I. do Poznania 1812 r.
31. Śmierć Władysława Jagiełły 1434 r.
 1. czerwca. Zmarł Mikołaj Kopernik, największy polski uczony, 1542 r.
 2. Wojska austriackie opuszczają Warszawę 1809 r.
 3. Śmierć Jana Zamoyskiego 1605 r.

Reklamy.

— **Firma Hasse i Spółka** w Poznaniu posiada na wystawie w głównej hali przemysłu pawilon, w którym wyłożone są toalety wizytowe kostiumy tailleur i bielizna, pochodzące z własnych pracowni. Gość, zwiedzający pawilon firmy, otrzymuje bon, którego wartość odliczoną będzie z rachunku przy głównej kasie magazynu przy placu Wilhelmowskim 4, skoro zakup towarów wynosić będzie 20 mk. Bony te otrzymują również posiadacze kart, ważnych na cały czas wystawy.

Od Administracyi.

— **Szanownych Czytelników** prosimy, aby do listów, w których żądają nadesłania pojedynczych numerów do kompletów i t. p., dołączali należytość w znaczkach pocztowych, odpowiednio do podanej w nagłówku ceny za pojedyncze numery.

Łamigłówka do nagrody

Szarada.

Ułożył Fr. B. z S.

Pierwsze wówczas robimy,
Gdy się tańczyć uczymy,
Rośliną zaś jest *drugie*,
Ziarnka ma białe, długie;
Chętnie je jadamy,
Choć nie uprawiamy.
Miastem jest *wszystko* — daleko,
Stolicą świata — nad rzeką.

Dokładne rozwiązanie łamigłówki prosimy nadsyłać **tylko na pocztówkach** najpóźniej do 1. czerwca b. r. na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadesłały rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 23.

Rozwiązanie

łamigłówki zamieszczonej w nr. 19.

Potok, Irkutsk, Oporto, Tarok, Raport,
Sarna, Katar, Ararat, Rugia, Granata, Anna
= Piotr Skarga.

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich
i Śląska:

pp. Jan Badura, Eleonora Bzylowa, M. Całkówna, Józef Czternasty, Danusia Doleżych, B. Dążkowski, Bogdan Durmowicz, M. Frydrychowicz, Franciszka Garczyńska, Zdzisław Gayda, J. Górecka, Mila Guzikowska, „Haneczka z Straszewa“, „Helenka z Pomorza“, Jan Haska, Wincenty Herok, „Janek z Poznania“, Anna Jordanówna, J. A. Kaczkowski, Wikcia Kiepińska, Marya Kniola, Konstancja Kolańczyk, Karol Kołodziejczyk, Stanisław Kowalski, Karol Krzystolik, Tola Kuińska, Wanda Kulczyńska, Gabryela Marszałkówna, Józef Michalak, J. Nalaskowska, Aldona Pacanowska, Stanisław Pietrzak, Kazimiera Piniecka, Emilia i Hanusia Początkówny, Marya Polska, Marya Pospieszyska, Hanna Preibiszówna, „Powój z Przybysławia“, Andzia Rogaczewska St. Sikora, Cecylia Sikorska, Helena Skorupska, Jan Sobkowiak, Anastazy Śmigierski, Pankracy Stark, M. Szczepaniak, Tadeusz Szerkowski, J. Szudrowicz, J. Wasik, Jan Wygralak, Helcia, Ludka, Jasia i Zbisiu Zięciak, Aurelia Żychlińska.

Z Gahcyi:

pp. Konstanty Cag, Marya Haass, Marya Koszowska, A. Klakla, Henryk Królicki, Alina Panasiewiczówna, Weronika Przybyłowiczówna, Kazimierz Riedl, J. Steindl, Wł. Trybała, Ks. Józef Welc, Floryan Wolski, Mieczysław Zbiegień.

Z obczyzny i zagranicy:

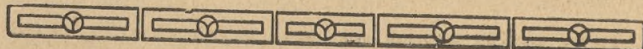
pp. W. Andersz z Steele (Nadrenia), Ludwika Bock z Berlina, Cezary Dużyński z Dolnych Łużyc, Z. Dziegiecka z Euskirchen (Nadrenia), Paweł Harazim z Dellwig (Nadrenia), Eugenia Herz z Berlina, Agnieszka Kunz z Herne (Westfalia), Marya Króczyńska z Gladbeck (Westfalia), Wojciech Łukaszewski z Horstermark (Westfalia), Kazimiera Maćkowiak z Castrop (Westfalia), Klara Majcherkiewiczówna z Berlina, Marya Nowakowska z Charlottenburga, Piotr Przeniczny z Berlina, St. Ratajczak z Steele (Nadrenia), Edmund i Władysław Sokołowscy z Berlina, St. Szymkowski z Rumelsburgu p. Berlinem, Szczepan Wilczak z Berlina.

Nagrodę otrzymają:

pp. 1) Kazimiera Piniecka z Poznania, 2) J. Wasik z Drogoszewa (pow. gostyński), 3) Szczepan Wilczak z Berlina, 4) Józef Michalak z Herne (Westfalia), 5) Jan Haska z Poznania.

Szan. Czytelników prosimy, aby dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej, przesyłali rozwiązania łamigłówek tylko na pocztówkach.

Przy rozdawaniu nagród nie uwzględniamy pseudonimów.



DZIAŁ POWIEŚCIOWY

MAURYCY LEBLANC.

DAMA JASNOWŁOSA.

(Ciąg dalszy).

— O wpół do szóstej.

— I pan jest pewien?

— Że to jest pani de Réal z pałacu Crozon?.. Tak, mam dowody niezbite. Ale... słyszcicie państwo, Folefant sygnalizuje.

Świst gwizdawki dał się słyszeć. Ganimard powstał żywo.

— Niema czasu do stracenia. Pani i pan de Crozon zechcą przejść do pokoju sąsiedniego. Pan również panie d'Hautrec... i pan też panie Gerbois... Drzwi zostaną otwarte i na pierwszy znak proszę państwa wejść. Pozostań pan, panie Dudouis.

— A jeśli inne osoby przybędą? — zagadnął pan Dudouis.

— Nie, zakład jest nowy, a właściciel jest moim przyjacielem i nie wpuści żywej duszy... prócz jasnowłosej damy.

— Jasnowłosej damy! Co mówisz?

— Jasnowłosej damy w jej własnej osobie, współniczki i przyjaciółki Arsena Lupina, tajemniczej jasnowłosej damy, przeciwko której posiadam dowody pewne, ale pomimo to chcę wobec pana, panie Dudouis, zebrać przeciwko niej świadectwa tych wszystkich osób, które ona ograbiła.

Wychylił się przez okno.

— Zbliża się... Wchodzi... Już nie umknie. Folefant i Dieuzy strzegą drzwi... Jasnowłosa dama do nas należy.

* * *

Prawie jednocześnie nieznajoma ukazała się na progu: wysoka, szczupła, o twarzy bardzo bladej i włosach złocisto blond.

Wzruszenie zdławiło głos Ganimarda. Pozostał niemy, niezdolny słowa wymówić! Jaki tryumf nad Arsenem Lupin! Jaki rewanz! A jednocześnie ta wygrana zdawała mu się odniesiona z taką łatwością, że zapytywał sam siebie, czy czasem jasnowłosa dama nie wysunie mu się z rąk przy pomocy jednego z tych czarów, którymi rozporządzał Lupin.

Ona tymczasem czekała, zdziwiona tą ciszą i rozglądała się wokół, nie mogąc pokryć swego niepokoju.

— Odejdzie!.. Zniknie!.. — myślał Ganimard w pomieszczeniu.

Gwałtownym ruchem stanął między nią a drzwiami.

Odwrociła się i chciała wyjść.

— Nie, nie — zaprotestował — czemu się pani oddala?

— Ależ doprawdy panie, nie rozumiem tego postępowania. Puść mnie pan...

— Niema żadnej przyczyny, aby pani wychodziła, a natomiast bardzo wiele, aby pani pozostała.

— Jednak...

— Daremnie, nie wyjdzie pani.

Błada opadła na krzesło i wyjęknęła:

— Czego pan chce?...

Ganimard tryumfował. Trzymał w sieci jasnowłosą damę. Opanowując się, wymówił:

— Przedstawiam pani tego przyjaciela, o którym pani mówiłem. Pragnie kupić klejnoty... nade wszystko dyamenty... Czy pani postarała się o ten, który mi pani obiecała?

— Nie... nie... nie wiem... nie przypominam sobie...

— Ale owszem. Niech pani sobie przypomni. Ktoś ze znajomych pani, miał pani dostarczyć dyament zabarwiony... „coś jakby dyament niebieski” — powiedziałem śmiejąc się, a pani odrzekła: „właśnie, być może, załatwię panu tę sprawę”... Czy pamięta pani?

Milczała. Mały woreczek, który trzymała, wypadł jej z ręki. Podniosła go żywo i przycisnęła do siebie. Palce jej drżały.

— A więc — rzekł Ganimard — widzę, że pani nie ma zaufania do nas. Dam pani dobry przykład i pokażę, co ja posiadam.

Wyjął ze swego portfela papier, który rozłożył i pokazał jej garść włosów.

— Oto przede wszystkim nieco włosów Antoniny Bréhat, wyrwanych przez barona i pozostałych w ręku nieboszczyka. Widziałem pannę Gerbois, poznała natychmiast kolor jasnowłosej damy... ten sam zresztą kolor, co pani... ściśle ten sam kolor.

Pani de Réal patrzyła na niego ze zdumieniem i jakby najzupełniej nie pojmowała znaczenia jego słów.

— A teraz — mówił dalej — oto dwa flakony od perfum, bez etykiety to prawda, i próżne, ale jeszcze dość zachowały woni, aby panna Gerbois mogła dziś rano jeszcze poznać zapach perfum damy jasnowłosej, która była jej towarzyszką podróży w ciągu dwu tygodni. Jeden z tych flakonów posiadam z pokoju, który pani de Réal zajmowała w pałacu Crozon, a drugi z pokoju, który — pani zajmowała w hotelu Beaurivage.

— Co pan mówił... Dama jasnowłosa... pałac Crozon...

Nie odpowiadając, inspektor policyi rozłożył na stole cztery kartki.

— Wreszcie — rzekł — oto na tych czterech kartkach próbki charakteru pisma: Antoniny Bré-

hat, druga damy, która pisała do barona Herschmanna w czasie sprzedaży niebieskiego dyamentu, trzecia — pani de Réal w czasie jej pobytu w pałacu Crozon, a czwarta od samej szanownej pani... To pani nazwisko i adres, pozostawiony przez panią u portyera w hotelu Beaurivage w Trouville. Wreszcie zechce pani sama porównać te cztery pisma. Są jednakowe.

— Ależ pan zwaryował panie! Pan zwaryował! Co znaczy to wszystko?

— To znaczy pani — zawołał Ganimard w uniesieniu — że jasnowłosa dama, przyjaciółka i spółniczka Arsena Lupin, jest to — pani!

Pchnął drzwi sąsiedniego salonu, wpadł na pana Gerbois, szarpnął go za ramię i przyprowadził przed panią de Réal.

— Panie Gerbois, czy poznaje pan osobę, która uprowadziła pańską córkę i którą pan widział u pana Detinan?

— Nie.

Jak gdyby przebiegł prąd elektryczny, którego każdy odczuł wstrząśnienie. Ganimard się zachwiał.

— Nie? Czy to możliwe?... Poczekajmy, zastanów się pan...

— Już się zastanowiłem. Pani jest blondynką, jak tamta dama... błada, jak ona... ale nie jest pani podobna zupełnie.

— Nie mogę wierzyć... Podobna pomyłka jest niemożliwa... Panie d'Hautrec, czy poznaje pan Antoninę Bréhat?

— Widywałem Antoninę Bréhat u mego stryja... To nie jest ona.

— I pani nie jest też zupełnie panią de Réal — potwierdziła hrabina de Crozon.

Było to nadto. Ganimard stał oszołomiony, bez ruchu, zwiesił głowę, oczyma unikał obecnych. Ze wszystkich jego obmyślań nie pozostawało już nic. Gmach runął.

Pan Dudouis powstał.

— Pani nam zechce wybaczyć, nastąpiła tu nieszczęsna pomyłka, którą racz pani darować. Ale nie rozumiem tylko jednego — to pani pomieszania... pani dziwnego obejścia, odkąd się pani tu znalazła?...

— Mój Boże, panie, bałam się... Mam więcej niż za sto tysięcy franków klejnotów w mym woreczku, a postępowanie pańskiego przyjaciela nie mogło budzić zaufania.

— Ale ciągle pani wyjazdy?

— Czyż mój zawód ich nie wymaga?

Pan Dudouis nic na to odpowiedzieć nie mógł.

— Zebrałeś swe informacye Ganimard, z niefortunną lekkomyślnością i znalazłeś się wobec pani w sposób bardzo niewłaściwy. Przyjdiesz wytłumaczyć mi się do mego gabinetu.

Posiedzenie było skończone i szef policyi zabierał się do wyjścia, gdy nastąpił fakt doprawdy nieoczekiwany. Pani Réal zbliżyła się do agenta ze słowami:

— Słyszę, że pan nazywa się Ganimard. Wszak się nie mylę?

— Nie.

— W takim razie ten list musi być dla pana przeznaczony. Otrzymałam go dziś rano z adresem, który pan widzi: „Pani Réal, dla doręczenia panu Ganimard“. Myślałam, że to żart, bo nie znałam pana pod tem nazwiskiem, ale widocznie, że nieznajomy mi korespondent wiedział o naszym spotkaniu.

Dziwną dotknięty intuicyą Justyn Ganimard chwycił list i chciał go zniszczyć. Nie śmiał jednak wobec swego zwierzchnika. Rozerwał kopertę. List zawierał te słowa, które czytał głosem zaledwie zrozumiałym:

— „Była pewnego razu jasnowłosa dama, niejaki Lupin i niejaki Ganimard. Zły Ganimard chciał szkodzić pięknej, jasnowłosej pani, a dobry Lupin nie chciał na to pozwolić. Więc dobry Lupin pragnąc, aby jasnowłosa pani zaprzyjaźniła się z hrabiną de Crozon, namówił ją, aby przybrała nazwisko pani de Réal, które jest nazwiskiem, lub prawie jest — pewnej szlachetnej obywatelki, której włosy są złociste, a twarz blada. I dobry Lupin mówił sobie: Jeśli kiedykolwiek zły Ganimard będzie na tropie jasnowłosej damy, jakże mi będzie przyjemnie sprowadzić go na ślad szlachetnej kupcowej. Rozumna przezorność przynosi owoce! Maleńka notatka przesłana do dziennika, czytowanego przez Ganimarda, flakon od perfum, umyślnie zapomniany przez prawdziwą jasnowłosą damę w hotelu Beaurivage, nazwisko i adres pani Réal, zapisane też przez prawdziwą jasnowłosą damę w księdze hotelowej — i sztuka odegrana! Co mówisz na to Ganimard? Chciałem ci opowiedzieć przygodę przy obiedzie, wiedząc, że naśmiewać się z niej będziesz pierwszy. W istocie jest kapitalna i wyznaję, że z mej strony ubawiłem się bajecznie!

A więc dzięki, drogi przyjacielu; najserdeczniejsze pozdrowienie dzielnemu panu Dudouis.

Arsen Lupin“.

— Ależ on wie wszystko! — jęknął Ganimard, który bynajmniej nie myślał się śmiać. — Wie rzeczy, których nie mówiłem nikomu! Jakże mógł wiedzieć, że ja tu sprowadzę szefa policyi? Jak mógł wiedzieć o znalezieniu przezemnie pierwszego flakonu?... Jak mógł wiedzieć?

Trząsł się, rwał włosy z rozpaczy.

Panu Dudouis żal się go zrobiło.

— No! Ganimard pociesz się, na drugi raz lepiej się uda.

I szef policyi wyszedł w towarzystwie pani Réal.

* * *

Przeszło dziesięć minut. Ganimard czytał i odczytywał list Lupina. Opodał hrabia i hrabina de Crozon, pan d'Hautrec i pan Gerbois rozmawiali żywo. Wreszcie hrabia zbliżył się do inspektora i rzekł:

— Z tego wszystkiego wypływa, drogi panie, że nie posunęliśmy się wcale naprzód.

— Przepraszam. Moje wywiady ustaliły, że jasnowłosa dama jest bohaterką niezaprzeczoną tych wypadków i że kieruje nią Lupin. To krok ogromny.

— Który na nic się nie przydał. Zagadka jest może więcej jeszcze ciemna. Jasnowłosa dama zabija, by skraść niebieski dyament, a nie kradnie go. Kradnie go wreszcie, — aby go się znów pozbyć na korzyść kogo innego.

— Nic na to nie pomogę.

— Zapewne, ale może kto inny by pomógł...

— Co pan chce przez to powiedzieć?

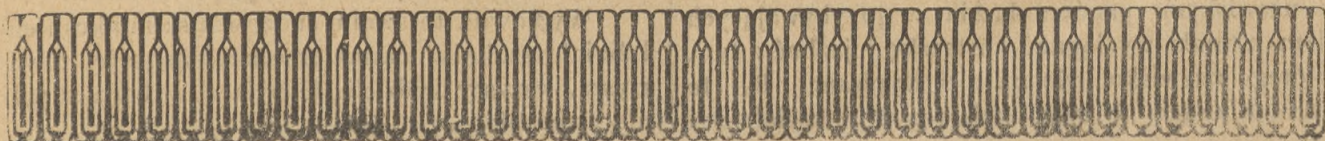
Hrabia zawahał się, ale hrabina się wzięła i rzekła wyraźnie:

— Jest człowiek, jedyny po panu — według mnie — który będzie zdolny zwyciężyć Lupina i udaremnić jego wybiegi. Panie Ganimard, czy będzie panu bardzo niemiło, jeśli wezwiemy pomocy Sherloka Holmesa?

Zmieszał się.

— Ależ nie... tylko... nie rozumiem dobrze...

(Ciąg dalszy nastąpi).



DZIECIĘ Z ULICY.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— To właśnie nie, ale możnaby spróbować w sposób nie zwracający niczyjej uwagi dowiedzieć się coś bliższego o jej pochodzeniu; nie przeczę, że w mojej bliskości nie chciałabym mieć nic dwuznacznego, jest nawet moim obowiązkiem zapobiedz temu, tem więcej, że księżę ma pod niektórymi względami bardzo lekkie zasady. Zresztą księżna Arbanow ma bardzo złe maniery, co także daje wiele do myślenia, a przynajmniej wcale to na jej korzyść nie przemawia. Twemu bratu jestem za tę wskazówkę serdecznie wdzięczną, powiedz mu, że każdą dalszą wiadomość będę uważała z jego strony za przysługę, wyłącznie mnie oddaną. Musimy walczyć tą samą bronią, jaką walczą przeciwko nam. O! gdzież nareszcie można znaleźć spokój i szczęście!

Księżna Sybilla oparła głowę o poduszkę i zmęczona zamknęła oczy. — Panna Nobbe po cichu wstała, spuściła zasłony u okien i na palcach wysunęła się do sieni.

Ku wielkiemu utrapieniu księżnej Sybille pozostała wyśmienita sanna, przy tem jasne, słoneczne, nie za ostre powietrze, — wszystko wróżyło jak najprzyjemniejszą zabawę w dniu, przeznaczonym na wycieczkę do Jodłowca.

Księżę Dagobert, który, jako uprzejmy małżonek, musiał się najpierw, aczkolwiek niechętnie, zgodzić na odłożenie szlichtady, urządził teraz wszelkie przygotowania z podwójną niecierpliwością i w oznaczonym dniu roіło się po wszystkich ulicach miasta niezliczone mnóstwo wspaniałych sanek, zdążających na dziedziniec zamkowy, gdzie na życzenie księcia wszyscy się mieli zgromadzić.

Mężczyźni otuleni w kosztowne futra, panie również w ciężkich, ciemnych, zimowych toaletach, wszystko to przedstawiało widok wielce ożywiony i zajmujący. Niejedne ładne oczy spoglądały z pod wielkiego kapelusza radośnie na tego, którego szczęśliwy los przeznaczył im dziś na sąsiada; niejedna twarz odwracała się z cichem westchnieniem żalu, jeżeli imię na wyciągniętym losie nie zgadzało się z życzeniem serca. W wielkiej, starożytnej urnie były umieszczone karteczki z nazwiskami panów; każda z przybywających dam musiała wyciągnąć karteczkę i jechać z tym, którego nazwisko było na niej wypisane. Był to pomysł księcia i wykonanie tegoż sprawiało mu

wiele przyjemności, żartował, śmiał się, winszował, pocieszał, stosownie do tego, co twarz każdej z dam wyrażała — a przy tem oczekiwał niecierpliwie przybycia pani Bogdanow i jej pięknej kuzynki.

Przybyły nareszcie; księżę, spostrzegłszy je, szybko się ku nim zbliżył. Suknia Ferry była z ciemno-zielonego aksamitu, obszyta sobolowem futrem, obcisły kabacik naśladował zręcznie rosyjską kacabajkę i uwydatniał korzystnie jej kształtną, giętką kibić. Z pod małej aksamitnej czapeczki ukazywały się zwoje złotych włosów i stała tak naprzeciwko księcia, przyciskając małą mufkę sobolową do swej ślicznej, różanej twarzy. Błady promień słońca obejmował jej postać, pełną miękiego wdzięku odaliski, a księżę oddychał głęboko, patrząc na nią. Ferrę czytała uwielbienie w oczach jego, więcej nawet — zachwyt namiętny, i którażby kobieta nie myślała w takiej chwili z dumą o potędze swej piękności?

— Nareszcie, moje panie — zawołał księżę głośno — ale — rzekł, zwracając się do Ferry — nie gniewaj się pani na mnie, jeżeli mała liczba pozostałych karteczek nie zadowoli wyboru pani.

Podał jej ramię i prowadząc ją do urny, mówił dalej półgłosem:

— Dla czego i ja nie mogę być pomiędzy tymi szczęśliwymi, którym przynajmniej wolno starać się o względy twoje, księżno, albo który będzie miał szczęście spędzenia dziś kilku nieocenionych godzin w towarzystwie pani. Doprawdy, że ten, któremu się to szczęście dostanie w udziale, pozostanie na wieki moim dłużnikiem.

Ferra rozśmiała się.

— A jeżeli on mnie się podobać nie będzie, to ja chyba stanę się wtedy wierzycielką Waszej Wysokości.

— Wolałbym, żeby tak było, bo nie wiem, komuby życzyć tego szczęścia.

Ferra wsunęła rękę w urnę i wyciągnęła małą karteczkę, wszyscy milczeli zaciekawieni, gdy rozwijając złożony papier, przeczytała:

— Hrabia Leon Rommingen-Erdenfluch.

Wymówiła to swoim cudzoziemskim akcentem i śmiało szukała oczami przeznaczonego jej towarzysza, wszyscy widzieli, że była z wyboru zupełnie zadowolona.

— Zdaje mi się, że zasłużyłem sobie na podziękowanie pani — rzekł książę z małym odcieniem zazdrości i obrażonej próżności, Ferra bowiem już wcale na niego nie zważała.

— Tak jest, Wasza Wysokość!

Książę gniewnie przygryzł usta i zbliżył się do księżnej Sybili, która stała wśród grona swoich wiernych i patrzyła na niego z złośliwym uśmiechem.

— Jesteś gotową, Sybilo? Możemy już wyjeżdżać?

— Dobrze! — Księżna wyglądała znowu bardzo niekorzystnie, jakby umyślnie chcąc pokazać, że świetność obudwóch Rosyanek, ich kosztowne ubrania i wyrachowany zbytek, wcale jej nie imponują, ani nie budzą chęci naśladowania. Książę widział to i wzdychał, jego wytworny smak nie mógł znieść czegoś podobnego. Podał ramię swej małżonce i zaprowadził ją do sanek, w następnych zajęli miejsce ochmistrzyni dworu z mężem i panna Nobbe z bratem i nigdy pewnie nie było złośliwe przezwisko: pokoju strachów — ze względu na mieszkanki książęcego pałacu, więcej uzasadnione, jak dziś.

— Przeznaczenie znowu nas zbliżyło tym razem — rzekła Ferra z swym czarującym uśmiechem do Rommingena. — Spodziewam się, iż pan będziesz dzisiaj grzecznym i uprzejmym.

— Czy nie byłem zawsze takim?

— O tem możnaby różnie mówić — rzekła wesoło, robiąc grymas ustami.

Pani Bogdanow przyjęła sanki Neukircha, zostawiając swoje Ferze i jej towarzyszowi. Sanki te były w kształcie muszli, drzewo w nich było rzeźbione i bogato pozłacane; siedzenia i przykrycia były z niedźwiedziej skór.

Stangret stał w tyle na stopniu sanek i wyglądał jak olbrzymi niedźwiedź; kołnierz futrzany sięgał mu do pasa.

Na koniach była uprząż, błyszcząca od złota i wielkie, ognisto-czerwone pióra z dzwoneczkami. Wszystko to robiło wrażenie przepychu i bogactwa.

Przy dźwiękach muzyki, z którą mieszał się odgłos dzwoneczków, przejeżdżał szereg sanek przez ulice miasta, a tłumy ludzi stawały, aby chociaż przypatrywaniem się wziąć udział w świetności i przyjemnościach wybrańców losu.

Mianowicie sanki pani Bogdanow wywoływały powszechny zachwyt, a więcej jeszcze dwoje pięknych ludzi, którzy je zajmowali. Adjutant księcia znany był ogólnie z widzenia, za to Ferra zwracała na siebie uwagę i ciekawość.

— O, jaka piękna pani! — wołała mała dziewczynka, którą piastunka podniosła wysoko na rękę, aby wszystko mogła lepiej zobaczyć. — Ona ma złoto na głowie.

Dalej zjawiał się znów młody, śmiały chłopiec, który rzuciwszy jej zręcznie na kolana bukiet kwiatów, zniknął w tłumie.

— Wszyscy składają pani hołdy — rzekł Leon do swej towarzyszki. — Czy to jest pani nieprzyjemne? W takim razie usunę natrętnych.

— O, nie! — odrzekła Ferra obojętnie. — Jestem do tego przyzwyczajoną. Rosyanie okazują to jeszcze o wiele więcej.

— A zatem pani znasz całą swoją potęgę piękności?

— Tak — odpowiedziała, wahając się nieco, była bowiem zawsze szczera.

— W takim razie wzięłaś mi pani może za złe moje przestrogi.

— Nie, gdyż wiem, że pan jesteś mi bardzo życzliwym.

— O, tak! Bóg świadkiem! — zapewniał Leon gorąco. — My mężczyźni sądzą często wprowadzić niektóre rzeczy o wiele surowiej, niż kobiety, ale za to może trafniej.

— Jestem bardzo rozpieszczoną — rzekła Ferra lekko i oparła się wygodnie na siedzeniu. — Książę Konstanty nie odmawiał mi żadnego życzenia, nigdy mnie nie ganił i wypełniał z chęcią wszystkie moje kaprysy. Był on bardzo dobrym dla mnie, gdyż mnie bardzo kochał.

— I nie możesz sobie pani wyobrazić, że można także kochać prawdziwie, a pomimo tego mieć często powód do nagany, lub być innego zdania, niż osoba, którą się kocha?

— Byłaby to miłość trochę niewygodna — odrzekła Ferra.

Leon spojrzał na jej piękną twarz i pomyślał sobie, że trzeba mieć wiele siły moralnej, aby jej czegoś odmówić lub obstawać przytem, czego ona nie chce.

Ciąg dalszy nastąpi).



Marya Rodziewiczówna.

JERYCHONKA.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Daj siebie sam do obejrzenia w menażeryi, małpo! — burknął Oryż, który nie cierpiał, gdy mu zaglądano w rysunek, póki go miał pod ręką.

— Ty słuchaj! Bądźno ostrożniejszym w epitetach, bo trafisz na kogoś, co nie będzie wiedział, żeś zwierz i wyzwie cię.

— Jestem zanadto źle urodzony, żebym się bał szlacheckich idyotyzmów! Pójdiesz mi precz ze stołu, czy chcesz wylecieć oknem?

Malicki usunął się, ramionami ruszając.

— To ci tak dojechało to małżeństwo widocznie — rzucił jak strzałę Parta.

Fink usunął się, pewien skandalu, bo Oryż się obejrzał i żółte jego oczy pozieleniały ze złości. Popatrzał na Malickiego i rzekł:

— Małżeństwa dojeżdżają może tobie. A że się Osiecki pobierze z Domuntówną, to wiedziałem o wiele dawniej niż wszyscy.

— Może być, boś się w niej kochał. Aha, toś dostał czarną polewkę na ostatni obiad?

— Może ty sobie wyobrażasz, żeś komu po potrzebny i miły, to się kochaj i oświadczaj. Ja wiem, com wart i nikogo sobą nie częstuję.

— Patrzcie, a to ci pokorny i skromny!

— Wcale nie! Takie samo jestem bydlę, jak i ty; tylko ty przybierasz formy człowieka, a ja sobie tej fatygi nie zadaję. Usun się ze światła i odczep się odemnie. Mam robotę — psia dola!

I zabrał się znów do rysunku.

Do zmroku ust więcej nie otworzył. Gdy ściemniało, odłożył ołówek i chwilę rozmyślał, patrząc chmurno przed siebie. Potem wstał żywo, wziął kapelusz i szalik, który stanowił sam jeden zimową garderobę.

— Pan każe podać już światło? — spytał go sługa redakcyjny.

— Jutro — burknął, przechodząc do gabinetu Finka.

— Daj mi pan dziesięć reńskich — rzekł.

Fink zawahał się chwilę.

— Ale przyjdiesz jutro? Słowo?

— Słowa nigdy nie daję, ale złodziejem nie jestem. Jak nie przyjdę, to każe się przywieźć!

— Oryż, opamiętaj się, jeszcze tydzień! Proszę cię! Album zapowiedziałem na maj. Drzeworytnia przygotowana. Nie rób mi zawodu! Zaklinam cię na wszystkie świętości.

— Nie głupim mieć świętości na twoje zakłęcia. Dosyć gadania! Dajesz dziesięć reńskich czy nie?

— Daję. Ty wiesz, że mam słabość do ciebie i zaufanie, ale możebyś tu kazał przynieść kolację, może ze mną zjesz?

Dawał banknot, ale ręce mu drżały. Oryż pieniądze zmiął, jak brudną szmatkę wetknął do kieszeni i wyszedł.

Fink wybiegł na schody.

— Słuchaj, ja wiem, że jutro wrócisz, ale tak na wypadek... gdzie cię można znaleźć?

— Na Wawelu, gdzieś mi obiecywał pracownię! — ozwał się ze śmiechem Oryż.

— Ucieknij! Jak Bóg miły, nie wróci, dopóki nie straci ostatniego centa! Poco ja mu dałem!

Żał był po niewczasie. Oryż już zszedł na ulicę, już kupił cygar, już szedł do knajpy. W brudnej okopconej salce miał swoje miejsce w kącie i dawną znajomość z usługującą dziewczyną. Miał u niej kredyt i łaski, ratowała go nieraz od głodu, żywiła do niego wielki, cichy sentyment. Pochodzili z jednej okolicy i ona nigdy do miasta nie mogła nawyknąć; brzydka była jak on i jak on poniewierana. Gdy wszedł, koleżanki chychocząc, wypchnęły ją na salę: był to przedmiot drwin zwykły. Dziewczyna przyjmowała to spokojnie, z pewną nawet dumą. Stała przed Oryżem stolik, a gdy usiadł i milczał, oczu nie podnosząc, spytała:

— Dać panu kapusty czy flaków?

Drgnął, jakby się przebudził.

— Nie będę nic jadł. Daj mi mocnego piwa.

Gdy podała kufel, wyjął banknot z kieszeni i rzekł:

— Masz tu dziesięć reńskich. Prowadź rachunek sama. Będę pił i pił. Tu się pośpię. Rano, jeśli nie pójde, to mnie każ dorożką odwieźć do redakcyi pana Finka. Zapamiętasz?

— Jak pacierz! — potwierdziła z całem przejęciem.

— No, to dolewaj bez komendy. Nie chce mi się gadać!

Dziewczyna spełniła rozkaz dosłownie. Kufel nie był minuty pusty. Oryż łokciami na stole się wsparł, ani spojrzął w stronę. Pił, wzdrygał się ze wstrętem i znowu pił.

W głowie jego było jednak zupełnie trzeźwo i to go doprowadzało do wściekłości. Chciał być pijanym, a nie mógł. Chciał myśleć — a tylko cierpiał. Nie starał się rezonować, ani opamiętywać: chciał nie czuć i koniec.

Z początku, po przymusie całodziennym, był jak martwy. Bolały go nawet członki, w głowie bezładnie tłoczyły się wrażenia.

Potem zaciął nagle zęby i nieco zbiełał i przez oczy mignął mu rozdzierający duszę żal.

Nie próbował już sztydzić z siebie, ani się okłamywać, jak człowiek śmiertelnie chory, nie łudził się nadzieją. Śmierć szła po niego: więc patrzył jej w oczy i dziwił się, że żałuje nawet takiego życia, nawet takiej doli. Więc śmierć przecież jest czemś bardzo złem i strasznym, gdy go tak bolało. On się nigdy niczego nie spodziewał, nie żądał, o niczem nie marzył, a teraz nagle chwyciła go żałość okrutna i bezmierny smutek. Dlaczego? Tak niedawno pracował nad tem, by takie rozwiązanie sprowadzić...

Podniósł głowę i spostrzegł dziewczynę, czatującą na pusty kufel.

— Macie dzisiejszą gazetę? — spytał.

Podala natychmiast. Odszukał notatki z karnawału i wlepił oczy w parę linii: „Filip Osiecki i Magdalena Domuntówna“.

Dwa nazwiska, dwa imiona, dwoje rąk w uścisku, dwie głowy, pochylone ku sobie, dwoje ust w pocałunku i dwie ślubne obrączki.

Oczy Oryża mgłą zaszyły, pałały mu powieki i czuł, jak ból skręcał go, miazdżył.

Machinalnie wyszeptał:

— Z mojej świątyni relikwię ten sobie bierze na sprzęt domowy, czy na zabawkę. Wolno mi cierpieć przecie! A ze świątyni co zrobić? Koszary, piwiarnię, czy tancsalę? Wszystko jedno!

Wypróżnił kufel, głowę na rękach oparł i powtórzył z uczuciem, jakby nóż w ranie obracał:

— Mnie wolno cierpieć przecie.

I cierpiał. Powoli jak wstążka, te dwa lata cnoty i statku przesuwwały mu się przed oczyma. Dzień po dniu je pamiętał z najdrobniejszymi szczegółami. Nikt jej nie znał, tak jak on: znał jej pogodę i czystość, jej jasność i siłę i bogactwo myśli i uczuć delikatność.

Dwa lata, i tyleż życia! Przedtem był zwierzem, teraz będzie umarłym, może znów bydlęciem, jeśli przeżyje. Dwa lata. Chciał się jej za dobre odplacić, ułatwić jej szczęście. Może ona, tak jak on teraz, cierpiała, gdy ten bałamucił się z baronową i jej kochanie gorzkie było i łzawe. Teraz będzie szczęśliwa.

Znowu wypił kufel i krzyknął na dziewczynę:

— Co ty mi tu za lurę dajesz? Mówiłem, że chcę mocnego! Daj wina!

Przyniosła mu butelkę i lampkę. Pił dalej...

Wreszcie zaczął tracić trzeźwość. Rojenie napelniało mu głowę, nabierał uczucia nietożsamości.

Zdało mu się, że nie jest biednym artystą, bez sławy, chleba i dachu, ale młodym chłopakiem o gładkiej twarzy, do którego się fortuna uśmiecha. Kocha go Magda i on ją ubóstwia, a świat cały przychylnie na nich patrzy, jak na dwoje szczęśliwych, i pięknych i dobrych. Zdało mu się, że spacerują gdzieś w górach wczesną wiosną, tarniny kwitną i skowronki śpiewają, i idą tak pod rękę i czasem spotykają się rozkochanymi oczyma, bez słowa, wiedząc, co myślą. Ona go prosi, by jej zaśpiewał, więc on zaczyna...

Wtem się ocknął i aż się przeraził i obejrzał wokół.

Śpiewał naprawdę, ale wcale nie wesołą piosenkę szczęścia, jeno smętną, ludową dumkę:

Przyszeli Wojtek do tatusiów i wziął dziewczynę,
A ja bez niej nieszczęśliwy chyba już zginę.

Matulu! chyba już zginę!

W sali już nie było nikogo — nikt na niego nie zwracał uwagi, ale on się oburzył sam na siebie za takie głupie marzenie i zamruczał:

— Bestyo, kto ci pozwolił! Cierpieć wolno — ale nie marzyć, jak student. Ty, słyszysz, ostrożnie, bo cię w takim błocie za karę utopię, że ci się odechce śpiewów i spacerów na zawsze!

I tak z sobą się rozmówiwszy, chwilę był mocniejszym, ale wnet go znowu opadła tęsknota.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



ZA WINY OJCÓW.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Uznawałam też zupełnie za słuszne, że Stella świetniejsze stanowisko zajmie w świecie niż ja. Oprócz tego, marząc o przyszłości artystki, o poświęceniu się sztuce, o moim przyszłym zawodzie, który miał zupełnie wypełnić moje życie, nie mogłam myśleć ani o miłości, ani o zaręczeniu się i wyjściu za mąż!

Wzruszona, trzymając list w ręku, chodziłam po terasie. Tak, mój zawód, moja nadewszystko ukochana muzyka! Gdybym tylko raz miała sposobność przekonania się, ile jeszcze umiem, ile jeszcze zostało mi w pamięci z tego, czego się kiedyś nauczyłam! Czy miałam rzeczywiście czekać jeszcze kilka miesięcy na to, co miało później być moją całą przyszłością? Ach, to być nie mógł! Szalona, niepowstrzymana chęć usłyszenia mego głosu, położenia rąk na klawisze, opanowała nagle moje serce i ujrawszy z daleka pana Walzla, szybko pobiegłam ku niemu.

— Czy monsieur Dornet wyszedł?

— Ej, naturalnie! Od wczoraj jest on w bardzo złym humorze, jak zawsze, kiedy dostaje list z Madery. Dziwne to pismo! Otrzymuje on dwójakie listy z Madeiry — jedyna jego prywatna korespondencja — listy z drobnem, wyraźnem pismem, wprawiają go w lepsze, chociaż czasem smutne usposobienie. Ale listy te ciężkie, grube i dziwne — o, po przeczytaniu ich wpada on w szal — biegnie w góry i wraca dopiero w nocy. Kto mu tam pisze z tej wyspy — nie wiem — bo monsieur wolałby sobie język ugryźć, niż przemówić słowo o swoim życiu, swojej przeszłości, ale dziś odebrał znowu taki zły list i wyszedł natychmiast. Dziwiłbym się, gdyby wrócił przed wieczorem!

Innym razem byłyby mnie tajemnicze listy z Madeiry mocno zajęły i zaciekały — dziś jednak byłam wyłącznie zajęta mojem życzeniem i słuchałam tylko tego, co usłyszeć chciałam, to jest, że monsieur Dornet nie wróci tak prędko.

— Bo ja — ja chciałabym, zaczęłam nieśmiało, bawiąc się uszami Plutona, potem dokończyłam od razu: Chciałabym grać trochę na fortepianie monsieur Dorneta?

Pan Walzel uśmiechnął się uradowany.

— Ej, czemu nie? Monsieur może to sobie uważać za wielki zaszczyt, a fortepianowi nic się

nie stanie. Wejdz pani śmiało na górę — pokój otwarty i żał mi bardzo, że nie mogę słuchać gry pani. Ale Lepp jest przy różach — sam nie da sobie rady, muszę więc iść koniecznie do ogrodu!

Cieszyłam się, że nie będę miała świadków; Barbara siedziała w altanie i szyla, byłam więc sama!... Szybko pobiegłam na górę i weszłam do wysokiego chłodnego pokoju. Nie oglądałam się wcale, patrzyłam tylko na przedmiot moich gorących życzeń, na owe krótkie, ciemne skrzydło, założone nutami. Były tam zeszyty otworzone, zamknięte; leżały na fortepianie, na krzesłach, na podłodze i na stole. Na wierzchu leżała gruba, otwarta książka, nuty były w niej pisane, często przekreślone, na bokach porobione rozmaite uwagi, notatki, znałam już się na tem tak dalece, że poznałam partyturę.

Więc to tutaj, w samotności, Dornet komponuje? Cóż to być mogło? Symfonia czy jaki kwartet? Na to była książka zbyt grubą! Obejrzałam się ostrożnie, poczem drżącemi rękoma obróciłam okładkę i ciekawie przeczytałam: „Tobila, wielka opera romantyczna w czterech aktach“.

Pod tym tytułem odczytałam nazwisko, ale napisane tak niewyraźnie, że pomimo wszelkiego usiłowania nie zdołałam go odczytać, w każdym razie nie było to nazwisko: Dornet!

Więc to była opera! Czy to było dzieło jakiego przyjaciela, a on obiecał je przejrzeć i poprawić? Lecz nuty i uwagi na boku były pisane tą samą ręką. Tutaj leżał niedbale rzucony ołówek, a tam, na małej staludze, posuniętej nieco dalej, tak, aby wzrok grającego mógł każdej chwili na niej spocząć, stała fotografia młodego człowieka, o smutnej, delikatnej twarzy i wielkich, tęsknych oczach.

Czułam, że gorący rumieniec oblewa twarz moją, powstałam więc szybko z krzesła, chcąc natychmiast wyjść z pokoju. Czemże byłam? Zbyt śmiałą, obcą dziewczyną, która weszła nieproszona do pokoju artysty, unikającego ludzi i szpiegowałam jego życie i zajęcia!

A on, wielki artysta, uciekł umyślnie w góry, aby ukryć tam swoją rozpacz! Ufny w dyskrecję gospodarza, wyszedł, nie zamykając pokoju, a ja korzystam z tego i przeglądam jego dzieła!

— Nie, nie — rzekłam sobie w duszy — nie po to tu przyszedłam, nie jestem ciekawą, nie chcę szpiegować, pragnę tylko zobaczyć, czy nie zapomniałam grać! Tylko fortepian zwabił mnie do tego pokoju! Sumienie moje jest czyste! Zadowolnię pragnienie i nigdy tu już nie wrócę!

Położyłam nieśmiało ręce na klawisze, ale od czego zacząć? Umiałam tyle rzeczy na pamięć, które grałam na końcu u pana Monboisa. Ach, był to jeden z najpiękniejszych polonezów Chopina! Więc dobrze, spróbuję go zagrać!

Zacząłam grać i nadspodziewanie dobrze mi szło! Ani palce, ani pamięć nie zawiodły mnie, czułam czasem, że niejeden pasaż powinien być wyraźniej i lżej granym, zresztą jednak nie zapomniałam nic i grałam coraz więcej i więcej. Nie pamiętałam już o tem, że chciałam szybko przestać i wyjść z pokoju, nie myślałam już o niczem innem, tylko o mojej ukochanej muzyce i grałam bez końca!

Czy poprobować teraz sonatę a-dur Beethovena! Grałam ją kiedyś z całą namietnością, a więc dalej do niej.

Skończywszy polonez przeszedłam w kilku akordach do mej ulubionej sonaty.

Lecz i po sonacie nie wstałam jeszcze, grałam pieśń wiosenną Mendelsohna, rapsodyę Liszta, étude Henselta, a gdy nareszcie czułam, że siły ustępują, spuściłam ręce, odetchnęłam głęboko i zaczęłam śpiewać.

Przypomniała mi się ładna piosenka Stelli: „Dziewczyna i motyl“, Stella śpiewała ją tak pięknie, że żadna z nas wyrównać jej nie mogła; śpiewałam ją teraz i zdawało mi się, że pan Monbois słysząc mnie, byłby bardzo zadowolony. Z tem wszystkiem musiałam skończyć moją grę i śpiew i z pewnem niepokojem spojrzałam na zegarek. O Boże, wszakże grałam dłużej niż dwie godziny! Gdzież się ten czas podział? Zerwałam się z krzesła, pobiegłam szybko ku drzwiom i tu stanęłam jak wryta... Za portyerą stał Dornet, a z wyrazu jego twarzy poznałam, że był tu już od dawna!

Cała moja radość, moje uniesienie, duma z moich umiejętności, wszystko to znikło od razu. Cóż on mógł o mnie pomyśleć? W jakim świetle stanęłam przed nim? Wydawałam się sama sobie tak natrętną i beztaktowną, że nie wiedziałam na razie, jak się tłumaczyć i uczyniłam co mogłam najgłupszego i najrozsądnieszego: milczałam!

Było to pewnie najmańdrzej, bo wątpię, czy byłabym wymówiła jakie mądre słowo, potem zakryłam twarz rękami i zaczęłam gorzko płakać.

Było to znowu nierozsądnie, bo wyglądało tak, jakbym się poczuwała do winy.

Twarzy pana Dorneta nie mogłam naturalnie widzieć, czułam tylko, że zaprowadził mnie do krzesła, usiłując ostrożnie odsunąć moje ręce od oczu. Nie mówił przytem wiele, tylko kilka pojedynczych słów spokojnie, uprzejmie, tak jak się przemawia do dziecka, które było niegrzecznem i przyznaje się do winy. Byłam zanadto wzruszoną, aby wszystko zrozumieć, a gdy się uspokoiłam, zauważyłam w jego głosie pewną niecierpliwość, co naturalnie, podług mego zdania, pochodziło stąd, że gniewał się na mnie za ciekawość i natręctwo.

Usiłowałam więc powstrzymać łzy, aby go jak najprędzej uwolnić od mej obecności, na co zapewne od dawna już czekał. Lecz myliłam się! On pragnął tylko usłyszeć mój śpiew i grę.

Bo gdy spuściłam ręce, zaczął mnie natychmiast egzaminować — w dziwny doprawdy sposób. Musieliśmy zabawnie wyglądać — ja drżąca od płaczu, on niecierpliwy, rozgniewany memi łzami, stojący nademną z twarzą surowego sędziego. Wówczas nie śmiałam się, o nie, dziś za to wyobrażam sobie, że położenie moje było niezmiernie śmiesznem.

Na pierwsze pytania jego, od jak dawna gram na fortepianie, u kogo brałam lekcye i czy już uczyłam się śpiewać, odpowiadałam nieśmiało z spuszczonej oczyma. Zwolna jednak nabierałam odwagi — spojrzałam na niego i spostrzegłam, że usta jego uśmiechają się i że wyraz twarzy jest łagodny i serdeczny.

— Kto z twoich rodziców, miss Doro, posiadał ten — ten — to zamiłowanie do muzyki?

— Nie wiem dokładnie, ale o ile wiem od Barbary, to matka moja śpiewała dobrze, a ojciec grał na fortepianie i śpiewał także.

— Miss Dora uznała zaś za stosowne odziedziczyć obiedwie zdolności, aby być zupełnie pewną. I nie miałaś pani jeszcze regularnych lekcyi śpiewu? Umiesz zaśpiewać jakie małe ćwiczenia?

— Myślę, że tak.

— Proszę.

— Ach, gdybym tylko mogła! — rzekłam, oddychając głęboko. — Jestem tak wzruszona.

Spróbujmy! — zawołał niecierpliwie. — Trzeba panować nad sobą. Proszę!

Musiałam więc usłuchać. Chciałam chociaż mojem posłuszeństwem wynagrodzić niegrzeczność.

Z początku nie szło dobrze, ale zebrałam całą siłę i śpiewałam tak, że pan Monbois byłby za-

chwycony. — Monsieur Dornet nie wyrzekł ani słowa pochwały, tylko gdy skończyłam, zapytał:

— Możesz pani tak długo wytrzymać? — Proszę.

O, mogłam i otrzymałam za to grzeczne skienienie głowy.

— Umiesz pani brać rozmaite tony?

— Tak, bardzo dobrze.

Spróbował kilka razy i był widocznie zadowolony.

— Męczy panią śpiew?

— Nie, wcale nie.

— W każdym razie nie powinnaś pani grać tak długo, a potem śpiewać, przyrzeknij mi to, miss Doro. Chcesz?

— Tak! Zapomniałam się, ja — ja — chciałam tylko — zobaczyć — czy — czy...

Nie pozwolił mi dokończyć.

— Zagraj mi pani teraz cośkolwiek.

— Bardzo chętnie, ale co?

— Może jaką sonatę Beethovena lub jaki utwór Schumanna?

— O tak, Schumann! To był mój najulubieńszy kompozytor!

I zaczęłam grać — i zapomniałam znowu o całym świecie, o sobie, grałam duszą i sercem — a skończywszy, spojrzałam z niepokojem na Dorneta. Twarz jego straciła wszelki wyraz zmęczenia i obojętności, uśmiechał się wesoło i wyglądał dziwnie młodo i szczęśliwie.

— Duszenko — rzekł miękko, nieomal serdecznie. — Twoja dusza przemówiła do mojej duszy, a ja zrozumiałem ją. Gdybym twoją duszę chciał prowadzić, kierować nią — pójdziesz ze mną? Będziesz miała zaufanie do mnie?

Skinęłam głowę.

— Dobrze. Obmyślimy to jeszcze dokładnie. Mamy czas, nieprawda? A teraz zejdź, miss Doro, do swego pokoju i wypocznij sobie. Twoje nerwy są długą grą bardzo rozdrażnione.

Posłuszna, wstałam — ale przy drzwiach zatrzymałam się jeszcze. Była to z mej strony śmieszna próżność — czułam to dobrze, ale nie mogłam jej się oprzeć. Wszakże powiedział, że chce kierować moją duszą — ja jednak pragnęłam usłyszeć wyraźniej pochwały z jego ust...

— Myślisz pan — sądzisz... że... że... posiadam rzeczywiście talent? — szepnęłam zmieszana.

Dornet uśmiechnął się smutnie, a twarz jego nagle znowu spoważniała.

— Czemu chcesz słyszeć to, co napewno wiesz, miss Doro? — zapytał nieomal surowo. — Prawdziwa artystka nie powinna być nigdy próżną, a jeżeli nią jest, to ja — usuwam się od niej.

Łzy stanęły mi w oczach; spuściłam pokornie głowę i chciałam wyjść, ale on rzekł jeszcze:

— Staraj się zwalczyć tę próżność, miss Doro, bo kto tego nie uczyni, ten należy do publiczności, a dla sztuki jest straconym. Ja zaś pragnęłbym zachować cię sztuce! Pomówimy o tem obszerniej. Chciałabyś iść ze mną jutro rano na przechadzkę?

— O, chętnie, bardzo chętnie!

— Dobrze, spotkamy się na tarasie. Do widzenia!

Nie wiem już, jak zesłam ze schodów i jak stanęłam przed Barbarą! Do zupełnej przytomności przyszłam dopiero wtenczas, gdy się po dwóch mniej więcej godzinach obudziłam i ujrzałam Barbarę, niosącą mi kawę i ciasta.

O, co za szczęśliwy dzień! Więc marzenie moje o świetnej przyszłości stanie się prawdą, będę wielką, sławną artystką!

Napróżno myślałam o słowach mego przyjaciela, że artystka nie powinna być próżną — byłam w jakimś upojeniu — byłabym mogła krzyczeć i śmiać się, i ledwie, że przytomności nie straciłam!

Usiłowałam potem uporządkować nieco moje myśli i wyjęłam z kieszeni list Stelli. Przeczytałam go jeszcze raz, ale machinalnie, ach — ona chciała wyjść za mąż, bez miłości, dla zdobycia bogactw! O, Stello, Stello, jakże cię żałuję! Ja, przyszła kapłanka sztuki, w sercu mojem nie ma ani cienia miłości, ani zazdrości, ani żadnego innego uczucia, jak zamiłowanie do sztuki i zupełne poświęcenie się jej!

W nocy nic prawie nie spałam, a z uderzeniem piątej byłam już gotową do przechadzki. Wyszłam na taras i zastałam tu pana Walzla, który natychmiast rozpoczął ze mną ożywioną rozmowę.

— Wielmożna panna pójdzie na spacer z monsieur Dornetem? W takim razie natrzeć okowitą nóżki, bo on umie biegać! Święty Boże, jak on biega! Raz jedyny poszedłem z nim, ale odprysnąłem sobie to na zawsze! Nie wiesz pani, dla kogo zamówił monsieur całe lewe skrzydło mego domu? Wszystkie pokoje, które tam są? Nie wiesz pani? Myślałem to zaraz. On nie powie ani słowa do nikogo na świecie. Ale to mi wszystko jedno! Wczoraj przyszedł do mnie i rzekł: „Słuchaj Walzel, życzę sobie, aby lewa strona domu nie została wydzierżawiona komukolwiek — bądź, być może, że za tydzień przyjdzie tu ktoś, którego dobrze znam, i ten zamieszka te pokoje, jeżeli zaś nie, to ja ci dzierżawę sam zapłacę. Nie będziesz więc miał żadnej szkody, ale pomieszka-

nie musi być wolnem, rozumiesz?" „Naturalnie", odpowiedziałem i odszedłem i udawałem, że się wcale nie dziwię, a w duszy jednak się dziwię bardzo, bo co to wszystko ma znaczyć? Kogo on tu chce sprowadzić? A jeżeli nikt nie przyjedzie, on chce zapłacić, za nic! O tak, ci wielcy panowie! Nic już nie mówię, ale tacy artyści, to jednak dziwni ludzie, nieprawda?

Dziwnem to było rzeczywiście — nie zdołałam wszakże tego wypowiedzieć, w tejże samej chwili bowiem ukazał się Dornet. Zamienił z Walzlem pozdrowienie, mnie uklonił się lekko i rzekł krótko:

— Dzień dobry, pani!

Poszliśmy na prawo.

— Musisz mi wybaczyć, miss Doro — zaczął po chwili mój towarzysz — jeżeli z początku nie będę do ciebie wiele mówił. Jest to jednym z moich dziwactw, rano nie lubię rozmawiać.

— Dobrze — odparłam i uznałam, że to otwarte wyznanie bardzo mi było przyjemnem. Ja także nie byłam usposobioną do rozmowy, miałam wiele do myślenia, a nadto musiałam podziwiać wschodzące słońce, góry, kwiaty — nigdy bowiem nie byłam tak wcześnie na przechadzce. Nie wychodziłam dotąd nigdy przed ósmą.

Po długim, długim milczeniu, zaczął Dornet mówić. Nie mówił jednak o tem, co przepełniało moją duszę, nie o muzyce i świetnej przyszłości, tylko o olbrzymich lasach w Karpatach, o rzekach i jeziorach tamże, pokrytych lodem, o dzikich, niedostępnych parowach, o wysokich, tajemniczych szczytach gór, o cudnych kwiatach, o szalonych wichrach i burzach, łamiących odwieczne drzewa, jak żdźbła słomy, i o srebrnych gwiazdach, opromieniających te dzikie, a zarazem tak piękne okolice.

— Byłeś pan tam dłuższy czas? — zapytałam ciekawie.

— Gdzież ja nie byłem! — odrzekł zamyślony. — Lubilem zwiedzać świat, podróżowałem wiele, jeździłem w dalekie, dalekie kraje, przez morza i pustynie! Jeżeli pani lubisz o tem słuchać, to ci kiedy opowiem trochę, ale muszę mieć stosowne do tego usposobienie. Nie cierpię oklepanego zdania: proszę, opowiedz nam co o swoich podróżach — nie wszystkie przygody są dla wszystkich stosowne i zrozumiałe!

— Ja pana nigdy o to nie poproszę — rzekłam poważnie.

— Dziękuję ci, miss Doro, może właśnie dla tego usłyszysz wiele!

Potem milczeliśmy oboje, a droga stawała się coraz trudniejszą i mniej wygodną. Czułam, że jestem okropnie zmęczoną.

— Czy jeszcze daleko do celu? — zapytałam odważnie. — Bo męczę się bardzo!

Mój towarzysz ani się zmieszał mojem pytaniem, ani nie miał dla mnie wyrazu politowania. Spokojnie wyjął zegarek i rzekł:

— Musimy iść jeszcze mniej więcej pół godziny. Czy siły pani wystarczą, czy też chcesz poprzednio odpocząć?

— Odpocząć — zawołałam i usiadłam prędko na pniu drzewa, leżącego przy drodze.

Dornet stał obok mnie zamyślony i poważny.

— Myślę właśnie nad tem — zaczął po chwili — na co panią wykierować, na pianistkę, czy na śpiewaczkę? Zdolności masz do jednego i do drugiego.

— Pan... mnie? — zapytałam nieco urażona. — Przecież ja sama muszę to rozstrzygnąć. Zależy od tego, co wolę.

— Więc dobrze. Co wolisz, miss Doro?

Podniosłam głowę i zawahałam się.

— Nie wiem — szepnęłam. — Gdy gram, nie chciałabym nic innego, jak grać, gdy śpiewam, czuję tak samo!

— Wiedziałem o tem — rzekł Dornet spokojnie.

— Doprawdy? Uważasz mnie pan zapewne za dziecko!

— Tak! Jesteś czasem zupełnem dzieckiem jeszcze, miss Doro!

Byłam obrażoną i milczałam.

— Jakże myślisz pani o swej przyszłości? — pytał Dornet dalej.

— W jesieni napiszę do babki, że zamierzam poświęcić się wyłącznie muzyce, mam nadzieję, że pozwoli na to i da mi pieniądze. Jeżeli nie, to poproszę o pomoc mej przyjaciółki, Stelli.

— Kto jest Stella? Opowiedz mi o niej, miss Doro.

Ach, jakże chętnie to uczyniłam! Zapomniałam o moim gniewie i mówiłam o niej z uniesieniem i zapałem; przedstawiłam ją w najkorzystniejszym świetle, potem opowiadałam o moim pobycie na pensyi, o pani Beaumont, o panu Monbois i skończyłam na pobycie w Londynie, w domu babki — ostatnie słowa brzmiały smutnie i niechętnie.

— Więc to było twojem życiem dotąd, miss Doro. A będąc jeszcze dzieckiem, żyłaś zapewne zawsze sama? — rzekł Dornet, zrywając gałązkę z drzewa.

Patrzył na nią uważnie i pytał mnie — może dla tego, aby wogóle do mnie coś mówić.

— Zawsze sama! Skąd pan to wiesz?

Dornet uśmiechnął się lekko.

— Nie potrzeba na to zbyt wiele znajomości ludzi. Chociaż przepędziłaś w Vevey kilka wesołych lat, to najpierwsze wrażenia nie zacierają się tak prędko, a oczy pani zatrzymały wyraz dziecka proszącego o trochę miłości i uczucia.

— Tak, tak — zawołałam żywo — tak było w istocie przez długi czas, ale teraz wszystko się zmieniło! Zadowolę się przyjaźnią mej ukochanej Stelli, miłością pocziwej Barbary — zresztą przestanę się oglądać za innymi przyjaciółkami. Będę miała moją sztukę, a to zastąpi mi wszystko! Czemu się pan znowu śmieje? Czy powiedziałam coś nierozsądnego?

— Ani myślę śmiać się z ciebie, miss Doro, i nie powiedziałas też nic nierozsądnego, ale widać, że jesteś jeszcze bardzo — bardzo młoda! Otóż gniewasz się już na mnie, wszelka uwaga o twoim młodym wieku oburza cię! Nie pragnij przecież stać się przedwcześnie starą, poważną osobą! Gdybyś dziś była o dwadzieścia lat starszą, miałabyś już niejedno smutne doświadczenie i rozczarowanie, i słowa, że sztuka zastąpi ci wszystko, byłyby może słusznymi, ale tak — czy jesteś dosyć zuchwałą, aby wykreślić zupełnie miłość z twego życia?

Umilkłam zdumiona, a przed oczami duszy ujrzałam Hyde Park w Londynie — ujrzałam siebie idącą na wąskiej ścieżce, a obok mnie piękną, wyniosłą postać Henryka de Marigny, patrzącego na mnie z niekłamanym uwielbieniem! Zamknęłam oczy i zamyśliłam się głęboko.

— Jestem wprawdzie młoda — rzekłam po długim milczeniu — ale to nie wyklucza smutnych doświadczeń, o których pan wspomniałeś, miałam ich już dosyć. W życiu moich rodziców musi być coś tajemniczego i ciemnego, tąją to umyślnie przedemną i musiałam ostatecznie zaniechać wszelkich usiłowań w celu dowiedzenia się o tem. To jednak zatruło całe moje życie!

I opowiedziałam mu moją przyjaźń z Ellą, opowiedziałam, że matka jej zerwała tę przyjaźń; wspomniałam o słowach starego grabarza, o uwadze tej pani na zabawie u doktora, o zdziwieniu jej, że pozwalają innym dzieciom bawić się ze mną — o ustępie z listu mej babki, nazywającej mnie zawsze biednym, nieszczęśliwym dzieckiem. Opowiadałam o moich usiłowaniach wykrycia tej tajemnicy, o wzrastającej chęci unikania ludzi,

o życzeniu śmierci, co wcale nie było naturalnem u dziecka!

Jak się to stało, że właśnie jemu wszystko tak obszernie opowiedziałam, jemu, który dotychczas nie wiele na mnie zwracał uwagi — tego sama nie wiem. Wątpiłam też, czy moja spowiedź zajmowała go, ale czułam niepowstrzymaną ochotę wypowiedzenia raz chociaż wszystkiego, co mi dolegało! Stelli ani Barbarze nie byłabym mogła nigdy wyjawić moich myśli i uczuć tak szczerze i dokładnie.

Gdy nareszcie skończyłam mówić, podniosłam oczy; Dornet patrzył na mnie i szeptał jakieś słowa, które nie rozumiałam, ale wiedziałam przynajmniej, że miał litość nademną.

— Idźmy dalej — rzekłam — odpoczęłam już dosyć!

Dornet skinął głową i udaliśmy się w dalszą drogę.

Góra była bardzo stromą, ścieżka wąską i niewygodną; mój towarzysz podawał mi często rękę, pomagał wchodzić na kamienie, a czasem, nie mówiąc słowa, obejmował mnie swem silnem ramieniem i przenosił na bezpieczne miejsce.

Nareszcie stanęliśmy u celu. Tuż przed nami wznosił się majestatycznie Wielki Glockner, niżej przesuwwały się mgły i chmury, a nad wierzchołkiem góry krążył wielki, wspaniały orzeł, już to spadał, już to wznosił się pod obłoki, aż w końcu zniknął nam zupełnie z oczu.

Blask słońca i ten orzeł w błękitach! Ciemne lasy i dumne góry! Co za przepych, co za cuda!

Nie mówiliśmy oboje ani słowa, ale uczułam, nagle, że ręka moja, którą mimowoli wyciągnęłam, została ujętą ręką Dorneta.

I tak staliśmy tu oboje — dojrzały artysta i niedoświadczone dziecko — ręka w rękę — jedyni ludzie, jak daleko okiem można było sięgnąć!

Idąc z powrotem rozmawialiśmy bardzo mało, Dornet prosił mnie tylko, abym codziennie rano, gdy on wychodzi, grała na jego fortepianie, co z wdzięcznością przyjął. Powiedział mi też jeszcze, że „Totila“, jego pierwsza opera — mniejszych rzeczy komponował już bardzo wiele — jest już skończoną aż do trzeciego aktu i że pragnie tu napisać czwarty akt.

(Ciąg dalszy nastąpi).



:: HUMORYSTYKA ::

Wierny sługa.

— Janie, Janie, zawsze mam takie pragnienie i tak dużo muszę pić, że się pewno zapiję i umrę!

— To niech mnie wielmożny pan też zabierze z sobą, bo ja tu już bym nic nie miał do picia.



Na ulicy.

Młody elegant (idąc natrętnie za damą):
Jeżeli pani nie chce ażebym nie pomyślał, że pani jest niemowa, niechże pani powie choć jedno słówko.

Dama: Idyota...



Także korzystać.

— Wie pan, że z piankowej cygarnicy wygodniej palić jak z drewnianej albo z papierowej.

— Czemu?

— Bo jak upadnie na ziemię, to już nie trzeba się schylać!



Co robi?

— Powiedz mi, co robi minister wojny wtedy, kiedy jest wojna?

— On stara się, żeby jaknajprędzej był pokój?

— A co on robi, jak jest pokój?

— Stara się, żeby jaknajprędzej była wojna.



Coraz popularniejsza strofka.

Póki była go potrzeba,

Miał kawałek u nich chleba,

Dziś potrzeba już osłabła,

Więc mówią mu: „Idź do dyabła!”



Pod szubienicą.

— Dzięki Bogu, przynajmniej znów o jednego mniej! — rzecze łotr, ujrzawszy wisielca na szubienicy. — Naprawdę, już zanadto tej konkurencji; trudno żyć porządnie na świecie.



Pomiędzy lekarzami.]

Rzekł doktor do doktora: — Wyobraź kolega, Coś mnie kłuje pod boki i w dołku dolega!

Rzeknie tamten: — I ja też przyznam się koledze, Że słabo mi nadzwyczaj i ledwie już siedzę.

— Więc leczmy się nawzajem, gdy się słabość [wzmaga?

— Daj spokój, mój kolego, na cóż nam ta blaga?



Humor polityczny.

Pochodzenie wyrazu „parlament” różni różnie tłumacza. Zdaniem jednych w górnej izbie panuje par — w dolnej lament. — Zwolennicy wpuszczania kobiet twierdzą, że twórca nazwy był przewidującym, dopiero bowiem po dopuszczeniu kobiet będziemy mieli par i lament.



Żona jednego z ministrów zapytała go, czy urząd jego jest kosztowny. „Urząd sam nie — odparł minister — ale jakże, moja droga, droga droga do niego była!”



Gdzie trzech Anglików — wielka cisza, trzy befsztyki, trochę portera.

Gdzie trzech Francuzów — wesoly kabaret.

Gdzie trzech Włochów — dużo wrzasku, serenada.

Gdzie trzech Polaków — 3 stronnictwa polityczne.

Gdzie trzech żydów — mniej lub więcej solidna spółka handlowa.

Gdzie trzech Niemców — 30 kufla piwa.



Nauka.

— Ja cię kraść nauczę, gałganie jeden! — wołała dama, chwytająca za rękę małego rzeźmieszka.

— I owszem! Będę pani dobrodziejce bardzo wdzięcznym, mnie już czwarty raz łapią.



Czemu? mydło Zwierzyńskiego

bo kupić i przekonać się powinniście, że

teraz wysuszane w opatentowanych maszynach



jest najlepsze



i najoszczędniejsze w praniu.

Żądajcie wszędzie i zawsze, tylko mydła Zwierzyńskiego, wyrób swojski i odsuwajcie wszelkie podrzędne fabrykaty konkurencyjne.

Specjalny skład
i fabryka
garderoby męskiej
i dla
chłopców

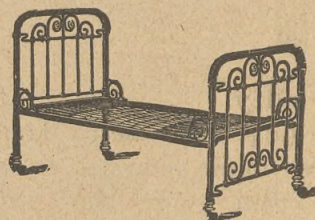
Poznań,
St. Rynek 57.
Telefon 1215.

J. Lisiecki

Filia w Wrześni
Rynek 24.
Telefon 126.

Zamówienia
podług miary.

Skład sukna krajo-
wego i zagranicznego.



Łóżka wyśc. od 6.50
mk. począwszy

Łóżka żelaz. od 6.25
mk. począwszy.

Umywalki z komplet.
z garnitur. od 2.90 m.
począwszy.

Maszynki do mięsa

Maszynki do bułek

Młynki do kawy

Maszynki do gotow.

Maszynki do chleba

Dzbanki emal. i blasz.

Konewki do pól.

Kasetki do listów

Stoły — Ławki ogrod.

Drabki, klatki

Szczotki, Szufelki itd.
poleca

Wagi kuchenne

Kociołki do bielizny

Węborki em. i cynk.

Garnki żel. i emal

Wanienki emal. i cynk.

Łyżki — Łyżeczki

Noże i widelce

Żelazka do prasow.

Deski do prania

Stefan Twardowski,

Poznań, Stary Rynek 79.

Skład sprzętów kuchennych i domowych.



Pełkofonami

zowieśmy ulepszone gramofony

Pełczyńskiego

które są

:: najtańsze i najpraktyczniejsze ::

Polskie płyty

do gramofonów

po 1.75 mk.

Olbrzymi wybór płyt. Około 500 numerów
stałe na składzie.

Spisy płyt i cenniki bezpłatnie.

St. Pełczyński — Poznań.

ul. Wodna 13, na I. piętrze.

Poznań O. I, ul. Kohlels 22 (przy ul. Młyńskiej).

Dyrektora B. Heimanna zakład przygotowawczy

do egzaminów służby jednorocznej, prymy i abitur.,
również do każdej klasy wyższego zakładu nau-
kowego. Na św. Michał 1909 złożyli egzamin wszyscy
uczniowie. Ureg. pensjon. — Prespekty darmo i franko.

Rozszerzajcie pismo nasze!

Ciechociński Zakład kąpielowo-zdrojowy

otwarty

od dnia 8/21 maja do 8/21 września włącznie.

Wody Ciechocińskie jednobromo-słone szczególnie
są pożyteczne w cierpieniach skrofalicznych, reumaty-
cznych, kobiecych i wielu innych. Nie ma dziecka, które
nie potrzebowałoby kąpeli Ciechocińskiej. Zakład po-
siada 10 źródeł z rozmaitym koncentracją solanki od 6%
do 1/3% (artezyjskie do picia). W razie potrzeby dla
wzmocnienia solankowej kąpeli dodawany bywa Ciecho-
ciński szlam i ług, produkta lecznicze wytwarzane na
miejscu przy warzeniu soli. W Ciechocinku można brać
kąpiele solankowe, borowinowe, kwasowęgłowe, elektry-
czne, świetlne, łaźnie, tuszówki, inhalacje oraz zabiegi
hydropatyczne. W zarządzie zakładu jest do nabycia
Ciechociński szlam leczniczy. Ciechociński ług leczniczy,
stosowany do przyrządzenia sztucznych kąpeli Ciecho-
cińskich i gazowana solanka 1/3% do 1% do picia. Cie-
chocinek łączy się z odnogą D. Ż. Warszawsko-Wiedeń-
skiej i pograniczną stacją Aleksandrowo. Komunikacja
z wszystkimi pociągami warszawskimi i zagranicznymi.
Tania komunikacja Wisłą statkiem parowym. Na każde
zapotrzebowanie są wysłane bezpłatnie cenniki.

20 najwyższych nagród

w tem 4 Grands Prix z wystaw międzynarodowych uzyskał dla swej niezrównanej jakości

„Amalino” błyszczący na obuwie.
Wyrób fabryki chemicznej

W. Wyrbykowski

T. z o. p.
Gniezno - Gnesen.

655-9

Skład strojów damskich
Poznań, **B. May** Piekary 2.

Nowości

wszelkie latowe już nadeszły,
jako też
modele dla pań panienek i dzieci.
Żałobne kapelusze zawsze na składzie.



Ważne! **Z kłopotu wybawia**

każdą panią domu

Firma „Palette” Antoniewicz
która dostawia gotowe, wypróbowane,
nielepiące farby i lakiery do podłóg
i t. d. udzielając wszelkich informacji.
Specjalny skład wszelkich przy-
borów malarskich, farb, lakieru,
pokostu, terpentyny.

Tapety począwszy od 10 fen.

Przy Starym Rynku, Poznań, Tel. 160. Wejście z ulicy
Żydowskiej obok kaplicy P. Jezusa.

Kapelusze damskie.

Kapelusze dla panienek. — Kapelusze dziecięce
od najskromniejszych do najeleganciejszych
w wielkim wyborze po znanych niskich cenach
— poleca —

T. Ludwig,

Szkołna 10. Skład Stroju „Carmen” Szkołna 10.

Przerabiania podług najnowszych modeli szybko.

Żałobne kapelusze zawsze na składzie.

Założ.
1847

Antoni Rose

Telef.
381

Poznań — Bazar

Zakład litograficzny i drukarnia

Fabryka książek kontowych
i rejestrów gospodarczych

Skład materiałów piśmiennych,
galanteryjnych i skórzanych.

311-14

Wielki wybór torebek damskich.

Zał. 1891.

Zał. 1891.

St. Mańczak

Fachowy złotnik i jubiler z 28-letnią
praktyką

Tel. 640. Poznań ul. Berlińska 7. Tel. 640.

Największy i najstarszy
polski zakład złotniczy
i jubilerski

poleca

wyroby złote, srebrne
oraz biżuterię

od najtańszych do najwykwintniejszych.

Wybór ogromny.

Geny bez konkurencji.

Gdzie składa się każdą sumę oszczędności

zupełnie pewno, korzystnie i z docho-
waniem absolutnej tajemnicy?

W istniejącym 24 lata i stojącym pod
patronatem X. Wawrzyniaka banku

„Kasa Wzajemnej Pomocy”

w Poznaniu, Stary Rynek 45, I.
(Posen, Alter Markt 45, I.) 571-2

BANK ZIEMSKI

a. g. m. b. H.

GNIEZNO,
ul. Farna 3.

kupuje i parceluje posiadłości ziemskie — pośre-
dniczy w kupnach, sprzedażach i dzierżawach,
nabywa i reguluje hipoteki — załatwia wszelkie
w ten zakres wchodzące transakcje — przy-
jmuje zastępstwa w sprawach subhastacyjnych,
przyjmuje depozyty, placąc proc. według umowy.

Rada Nadzorcza:

556-9

Dr. Tomaszewicz, prezes. T. Prabucki, wiceprezes.

A. Thiel. W. Królewczyk. Ks. Formanowicz.

L. Śmielecki. A. Tabaczka. St. Fenrych. W. Piechocki.

Zarząd:

K. Barciszewski. B. Cetkowski. S. Kucik.



Pierwszy swojski wyrób!

Żadajmy jej wszędzie i nie bierzmy nic innego.

Poznańska Chemiczna Fabryka
Kazimierz Chmielewski, Poznań.

Wyższa szkoła kroju

Zofii Szuman

507-8

w Poznaniu, przy ul. Wilhelmowskiej nr. 19

rozpoczyna nowe kursa 1-go i 15-go
co miesiąc.

Kursa oddzielne dla osób fachowych, oddzielne
:: dla uczących się do własnego użytku. ::

Eksport Masła.

Plac Działowy nr. II,
narożnik placu Sapieżyńskiego.

Najlepsze masło stołowe funt 1.30 mk.
Wędzonka funt 0.80 mk.
Wątrobianka własnych wyrobów . . . funt 0.80 mk.

Adres: **Roman Tilgner**
Pleschen — Pleszew

drugi adres:

Roman Tilgner Berlin O. 27.
Blumenstr. 76.



Kto raz kupił jest stałym odbiorcą, dowolna wymiana towaru, lub zwrot pieniędzy, nad 20,00 marek franko za zaliczką.
Cena za funt:

Pierze szare, niedarte funt à —,85 Mk.
„ gęsie, darte pół białe „ à 1,98 „
„ „ „ białe puszy I „ à 2,55 „
„ „ „ śnieżno białe „ à 3,05 „
„ „ „ najlepsze „ à 3,60 „

Próby w małych kolekcjach wysyłam każdemu na żądanie franko.

Agenci lub krawcowe otrzymają dużą kolekcję prób zawierającą płótno, linony, walisy, perkale, satyny, damasty, jedwabie, batysty, krepy oraz wszelkie materiały na suknie codzienne, balowe i spacerowe, także próby kortów i kamgarów.

Własna fabrykacja białizny damskiej, męskiej i dziecięcej
Cenniki ilustrowane franko. 698-700

Zaproszenia i zawiadomienia ślubne

wykonuje szybko, gustownie i tanio
Drukarnia Dziennika Poznańskiego — Fryderykowska 9.

Młody, inteligentny Polak, katolik, w wieku 26 lat, pracujący w banku, chciałby wstąpić

w stan małżeński.

z panną lub młodą wdową, Polką, posiadającą kapitał od 35 000 mk. Adresować proszę:

Witold Romaszko

Rewal (Sandbergstr. nr. 39). — Russie. —

:: Tanie czeskie pierze na pościel ::



10 funtów: nowego dobrze dartego 8 mr., lepszego 10 mr., białego jak kwap miękkiego, dartego 15—20 m., śnieżno białego jak kwap miękkiego, dartego 25—30 mr.

Wysyła franko i wolna od cła za zaliczką. Wymiana i zwrot towaru, za zwrotem porta, dozwolona.

Benedict Sachsel, Lobes 342. Post Pilsen, Böhmen.

PATENTY

i t. d. uskutecznia

Biuro patentowe Knop & Himer,
Poznań, Rycerska ul. 8. Tel. 1735.

Polecam mój bogato
zaopatrzonej skład
szkła

porcelany
oraz wielki wybór
lamp.

Wypożyczalnia
serwisów

na obchody okazyjne
i wesela

P. Bakowska
Wielka Berlińska 65



Kursy dla szoferów

wyćwiczenie podług
przepisów prawnych
jako

szoferów do auto-
mobi i szoferów
do kół motorowych.

Wstęp każdego czasu.

Otto M x

Poznań

Bismarka ulica 6 a
Wielka Berlińska 78 a
Wypożycz. automobilii.

Wdowiec

licz. 60 lat, przemysłowiec,
posiadający domostwo w
w wartości do 20,000 marek
i otwarty interes poszukuje
dla braku znajomości pań
na tej drodze starszej

panny lub wdowy,
z mniejszym majątkiem.
Łaskawe oferty z fotografią
uprasza się pod nr. 888
do Administracji „Głosu
Wielkopolek”. Dyskre-
cja rzecz honorowa.

Przy wszelkich zakup-
nach prosimy powoły-
wać się na ogłoszenia
w piśmie naszym za-
mieszczane

Kawaler

(Galicyanin) lat 36, inteli-
gentny, z zawodu kupiec,
pragnie nawiązać korespon-
dencję z inteligentną pa-
nienką z dobrego domu w
celach matrymonialnych.
Majątku posiada 50.000 kor.,
pochodzi z dobrej rodziny.
Pośrednictwo rodziców lub
opiekunów byłoby wielce
pożądane. Zgłoszenia pod
nr. 887 do Adm. „Głosu
Wielkopolek”. Anonimy
bez odpowiedzi.

Kawaler, 35 l. z dobrej
familią posiad. dom z inte-
resem rzeźnickim i kilka-
naście mórg roli w mniej-
szem mieście poszukuje

żony.

Nie wykluczone objęcie
interesu w mieście więk-
szym i sprzedaż lub wy-
dzierżawienie mojej posia-
dłości.

Łaskawe zgłoszenia upra-
sza się pod nr. 938 do
Eksp. „Głosu Wielkopola-
nek”.

Kawaler,

organista na dobrej wiej-
skiej posadzie, szuka dla
braku znajomości pań na tej
drodce

łowarzyszek życia.

Panienci miłej powierz-
chowości i prawego cha-
akteru, nie starsze nad 21
lat, posiadające cokolwiek
majątku, upraszam o prze-
słanie swych ofert wraz z
fotografią do Adm. „Głosu
Wielkopolek” pod nr. 934.
Dyskr. rzecz honoru; ano-
nimów nie uwzględnia się.

Wdowiec, rzemieślnik,
poszukuje dla braku sto-
sownych znajomości na tej
drodce

żony.

Panny lub wdowy ponad
lat 40, zechcą łaskawie zło-
żyć oferty w ekspedycji
„Głosu Wielkopolek” pod
nr. 939. Dyskretya rzecz
honoru.

Patenty

na wynalazki itd.

Dr. Maryan Kruzan
rzecznik patentowy.
Poznań Rycerska 33.



K
N
A
P
I
Ń
S
K
I

Zakład własny wytrobów ortopedycznych Ludwika Knapińskiego

dostawcy klinik uniwers. Jagiell. i szpitali wojsk.

Aparaty syst. Hesinga

do leczenia skrzywień kręgosłupa i chorób kończyn stawowych, bandaż, pasy, gorsety, pończochy gumowe bez szwu, prostotrzymacze dla dzieci, nogi sztuczne i szczudła.

Wykonywane wedle wskazówek WP. Profesorów i lekarzy, odznaczone na wystawach lekarskich złotymi medalami.

Knapiński, Kraków, Mikołajska 7.

Telefon 505.



Wszelkie żurnale mód
francuskie, angielskie i wiedeńskie
cena 1 K.. z przesyłką K. 1.40, za
zaliczką K. 1.65

szczególnie żurnal sezonowy

Favorit

na wiosnę i lato 1911 zawierający około 1000 modeli jakoteż **GOTOWE KROJE** na suknie, kostiumy, żakiety, spodnie, szlafroki, matynki, bieliznę damską i męską, rękawy, ubiory dla dzieci itd. oraz manekiny na wszelkie miary poleca **M. LANDAU, Kraków, ul. Mikołajska 7.** Dla prenumeratów w Krakowie dostawa do domu bezpłatna.

Sila i skuteczność prawdziwej maści centyfoliowej



dawniej zwanej **maścią cudowną**
Zapobiega i usuwa zatrucie krwi. Czyni zbytecznymi operacje. Znajduje zastosowanie przy zataimowaniu odpływu mleka, stwardnieniu piersi, różny wszelakich zastarzałych cierpieniach, otwartych ranach w nogach, nogach nabrzmiałych, ranach, nawet przy pruchnięciu kosei; przy rozmaitych ranach, pochodzących z ułucia, postrzału, zacięcia; przy wyciąganiu z ciała wszelkich obcych przedmiotów, jak szkła, skałek, piasku, śrutu, koleców, etc.; przy wszystkich opuchlinach, karbunkulach, nowotworach, nawet przy raku; przy rozmaitych opuchlinach, **oparzeniach**, odmrożeniach, ranach skutkiem długiego leczenia, czyrakach na szyji, odmrożeniach uszu, zranieniu dzieci etc. Mniej niż dwie paczki nie wysyła się; wysyła tylko z poprzedniemi nadesłaniem pieniędzy albo za pobraniem. Dwa słoiki kosztują 3 K. 60 h.
Jedyné źródło do sprowadzenia **Apteka pod Aniołem stróżem A. Thierry w Pregrada** obok Rohitsch.
Do nabycia we wszystkich większych aptekach i hurtowniach w medyc. drogeriach.



Allein echter Balsam
aus der Schutzensel-Apothekedes
A. Thierry in Pregrada
bei Rohitsch-Sauerbrunn.
Znany powszechnie, jedyné prawdziwy balsam 1/2 2 albo 6 l albo 1 olbrzymia flaszka familijna 5.60.

K. Zieliński,

— **optyk** —
Kraków, Rynek, A-B 34
Poleca obficie zaopatrzony magazyn wyrobów optycznych, oraz pracownię, przyjmuje do reperacyi maszyny do pisania wszelkich systemów, gramofony i t. p.

LAWN - TENNIS,
RAKIETY, PIŁKI,
PIŁKI NOŻNE,
Przybory do rybostwa.
PERFUMY, MYDŁA
i **PUDRY** kraj., franc. i angielskie
polecają najtaniej
REIM i Ska. Kraków
Rynek 37. Linia A. B.

Gwiazdka Cieszyńska

pismo poświęcone wiadomościom politycznym, nauce, przemysłowi i zabawie, założone w 1848 r. przez **Pawła Stalmacha** wychodzi w Cieszynie w środę i sobotę. Informuje dokładnie o stosunkach śląskich, zajmując się przedewszystkiem sprawami narodowymi i ekonomicznymi polskiej ludności rolniczej i robotniczej.
Cena prenumeracyjna z przesyłką pocztową wynosi:
całorocznie 7 k — półrocznie 3 k 50 h,
kwartalnie 1 k 75 h.
Za ogłoszenia płaci się 20 h od wiersza drobnego; przy kilkakrotnem umieszczeniu daje się znaczny rabat.
Adres: **Redakcja i Administracja „Gwiazdki Cieszyńskiej” — Cieszyn, ul. Schodowa 3.**

Polskie firmy,

które chcą się zaprowadzić w kołach naszych czytelników winne ogłaszać w bardzo rozpowszechnionym
„Tygodniku Narodowym”

Magazyn mebli

i zakład tapicersko-dekoracyjny

Kajetana Dudziaka

W KRAKOWIE, ul. Floryńska I. 36, I. p.

== Kraków, ulica Zyblikiewicza 9. Telefon 796. ==

MECHANOLECZNCZY

ZAKŁAD ZANDEROWSKI

Lecznica chirurgiczno-ortopedyczna.

Oryginalne aparaty Zandera.

Gimnastyka lecznicza. — Pracownia dla sporządzania gorsetów, sztucznych kończyn, opasek przepuklinowych i t. p. — Leczenie gorącym powietrzem. — Mięśnienie. — Elektryzowanie.

Aparat Röntgena. — Sala operacyjna. — Pokoje dla chorych.

Leczenie garbów, skrzywień kręgosłupa i kończyn, chorób stawów i kości, gośceń, arytmii i t. p.

Zakład otwarty od godz. 9—1 i od 4—6.

Dr. Alfred Merz.

Dr. M. Staszewski.

Dr. Zygmunt Wachtel.

Nawet najwybredniejszych smakoszy potrafią
zadowolić tutki cygaretowe

„Framos“

z watą „SALVESOL“

Bibułka zrobiona jest z najdelikatniejszych włókien
liści morwowych, więc nie dziwnego, że pali się
lekko i równo, a dym jest łagodny i chłodny. Wła-
sności te podwyższa jeszcze umieszczona w ustniku

13

„WATA SALVESOL“

Nadaje się do tytoni lekkich, mniej do średnio
mocnych — wskutek swego nader delikatnego
włókna roślinnego. Każdy palący tytoń, chcąc
uniknąć zatrucia nikotyną, powinien palić tylko
w cygarniczkach szklanych z watą „Salvesol“.

Oryginalny pakietek „Waty Salvesol“ wy-
starcza na 200 do 400 papieros. lub cygar.

1000 sztuk tutek „Framos“ 3 korony. 10 cygarni-
czek 1 kor. 20 hal. Pakietek waty „Salvesol“
30 lub 60 hal.

Zakład przem. wyrob. papierowych „Noris“

Mr. W. Bełdowski, Kraków.

Dyplom honorowy na wystawie w Krakowie 1901.

W. Sznajdrowicz

Kraków, Rynek, Linia A-B L. 45, I. piętro
nad apteką pod „Białym Orłem“

Filia w Krynicy na deptaku pod „Orłem“
: i w Żegiestowie, w Domu Zdrojowym :
poleca Szanownej P. T. Publiczności

Główny skład i pracownię PELERYN

zakopiańskich i tyrolskich,
damskich, męskich i dziecięcych
po bardzo niskich cenach
oraz wielki wybór serdaków
i wszelkich stroi zakopiańskich
i krakowskich.

15

Zamówienia i reperacje uskutecznia
:: się w najkrótszym czasie ::

21